MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 51. WARSZAWA, 20 LISTOPADA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

POZORY SIŁY

BUDOWA państwa, któreby wchłonęło i opanowało wszystkie przejawy życia polskiego, postępuje raźno naprzód.

Zniesienie niezależności sądownictwa, zamierzone ograniczenie a raczej unicestwienie autonomji uniwersyteckiej, prawo o stowarzyszeniach oraz rozwiązanie Obozu Wielkiej Polski w województwach: pomorskiem, poznańskiem i kieleckiem— oto najnowsze etapy sanacyjnego biegu naprzełaj ku... utrwaleniu władzy grupy rządzącej.

Ludzie sterroryzowani, bez wiary we własne siły skłonni są zaliczać ostatnie zarządzenia administracyjne do rzędu objawów siły obozu rządzącego, podziwiać jego energję i umiejętność walki. Dla nas gorączkowe te zabiegi wydają się wyrazem nietyle siły, ile słabości.

Wspomniane posunięcia „sanacji" oznaczają przedewszystkiem jej niemoc ideową. Snać niewiele zdziałała „ideologja" obozu pomajowego, skoro trzeba było w sposób mechaniczny rozwiązywać rozrastający się z dnia na dzień Obóz Wielkiej Polski. Bezsilna, widać, okazała się kosztowna propaganda „idej" sanacyjnych w obrębie murów uniwersyteckich, skoro trzeba było nagwałt przygotowywać projekt ustawy, przy pomocy której chce p. minister oświaty ująć w swe ręce rząd dusz młodzieży akademickiej.

Wobec wielkich ambicyj ideowo-politycznych młodego pokolenia karłowato jakoś i ubożuchno wyglądał sanacyjny program doraźnego, styl koczowników raczej przypominającego urządzenia się w państwie, bez głębszej myśli o jutrze.

W walce przeciwko Obozowi Wielkiej Polski tkwi nadto lęk przed wielką, coraz to nowe rzesze zwolenników jednającą ideą. Czyż nie lęk tylko mógł doprowadzić tych ludzi do nienawiści, nie cofającej się przed najlichszej próby oszczerstwem?

Poważny zawód spotkał również wyznawców materjalistycznego na świat poglądu, którzy mniej ufają siłom duchowym i moralnym, większe znaczenie przypisując przewadze fizycznej. Łudzili się oni, że po rozwiązaniu Obozu zamrze ruch narodowy wśród młodych, że ustanie działalność obozowców. Złudzenia te płyną stąd, że „sanacja" nie rozumie istoty ruchu obozowego. Przyzwyczajona do mechanicznego tworzenia sztucznych organizacyj, podtrzymywanych przez subwencje, kredyty i posady, nie może pojąć wzrostu organicznie powstałych ruchów, posiadających bogatą treść wewnętrzną.

Zniszczyć można tylko słabe, sztuczne grupy, które się rodzą i upadają razem z chwilową, sprzyjającą im konjunkturą, ale nie da się stłumić, czy choćby pod ziemię zepchnąć żywego, szeroko po całym kraju rozlanego ruchu narodowego, skupiającego zdrowe, dla rozwoju państwa pożyteczne, siły społeczne.

Jak bezskuteczne jest zamykanie organizacyj narodowych, świadczy m. in. choćby lektura komunikatów urzędowych lub półurzędowych agencyj prasowych z dni ostatnich. W relacjach, opisujących zajścia antyżydowskie w Poznaniu i Lwowie, znajdujemy stale wzmiankę o członkach OWP., którzy walczyli z żydami.

Okazuje się z tych informacyj, że łatwiej znacznie jest rozwiązać Obóz, trudniej—zmusić do milczenia obozowców.

Bezowocność sanacyjnej metody podporządkowania *per fas et nefas* wszystkiego i wszystkich grupie rządzącej można stwierdzić również na innych polach, gdzie obóz rewolucji majowej odnosi pozorne sukcesy. Mamy na myśli, między innemi, rzesze urzędnicze, najliczniejsze i najwierniejsze — zdawałoby się — kadry obozu sanacyjnego. Czy stanowią one istotnie dostatecznie mocne, dostatecznie trwałe oparcie dla panującego dzisiaj systemu? Jest to masa, po pierwsze bierna, zmuszona do wyznawania „ideologji" obawą utraty posady, po dru-

gie — coraz częściej — chociaż po cichu — narzekająca i krytycznie wobec „sanacji“ zorjentowana. Jasnem jest, że biurokracja sama jedna nie stanowi zbyt pewnej podpory dzisiejszego systemu politycznego.

A inne czynniki siły obozu „sanacyjnego“?

Wierna i odważna, ale niezbyt liczna drużyna piłsudczyków, spoglądając na rezultaty sześcioletnich rządów, coraz bardziej traci pewność siebie i goryczą nasiąka. Rozbieżność programowa, wydostawanie się na wierzch karjerowiczów, wzajemne śledzenie się nie prowadzi do wzrostu zaufania wewnątrz obozu pomajowego i osłabia, a niekiedy wręcz rozkłada siłę i odporność bardziej ideowych żywiołów.

Armja jest pozycją osobną: nie wolno jej posądzać o sprzyjanie jednej tylko partji, przeto ją z tych rozważań wyłączamy.

Wreszcie poparcie żydów, które dodaje otuchy mniej świadomym rzeczy a doceniającym — często przeceniającym wagę pieniądza w dzisiejszych czasach. Nie radzilibyśmy „sanatorom“ zbyt polegać na pomocy żydów. Coraz mniej pewny to sojusznik. Kto uważnie śledzi niekorzystne zmiany, zachodzące w położeniu żydów, chociażby na podstawie głosów ich prasy, zmiany, które prowadzą do gwałtownego kurczenia się wpływów żydowskich w świecie powojennym, ten z zamkniętemi oczami na „konia żydowskiego“ stawiać w czasach dzisiejszych nie powinien.

Z przeprowadzonej przez nas pobieżnie analizy pierwiastków siły i słabości obozu sanacyjnego, którą każdy może prowadzić samodzielnie w sposób o wiele wszechstronniejszy i szczegółowszy, dochodząc w końcu do tych samych, co my, wniosków, wynika, że „sanacja“ nie ma stałego i trwałego w społeczeństwie polskiem oparcia.

Dodajmy do tego zmęczenie oraz zdenerwowanie „sanacji“, zrozumiałe zupełnie przy systemie kontrolowania całego życia społeczno-państwowego w najdrobniejszych szczegółach, aż do sumień ludzkich włącznie.

Tragedją „sanacji“ jest nadto brak następców. Żadne wysiłki nie zdołały zmienić faktu wyobcowania obozu pomajowego wśród młodych pokoleń. „Sanacja“ nie rozumie nowych, narastających w Polsce sił, których „rozwiązać“ niepodobna, które chcą i będą walczyć o wielkie, narodowe państwo. Nie panuje wreszcie nad nastrojami wsi polskiej, które niejedną pewnie niespodziankę w sobie kryją.

Stąd coraz to nowe, nieprzemyślane gruntownie decyzje, będące wypływem przemęczenia obozu sanacyjnego i koniecznem następstwem, z jego ideologji wypływającego systemu pochłaniania całego życia polskiego przez państwo — smoka. Im bardziej i łapczywiej objada się „sanacja“, tem natrętniej zjawia się jednak pytanie, czy aby wszystko strawi? czy jej naród kością w gardle nie stanie?

Odpowiedź na te pytania znajdzie łatwo każdy, kto ma choć trochę wyobraźni politycznej.

TADEUSZ BIELECKI

PRAWO WIĘKSZOŚCI

GDZIEKOLWIEK pewna liczba osób (fizycznych lub prawnych) powołana jest do wydania wspólnej opinji, albo do wspólnej uchwały, głos większości absolutnej, a w niektórych wypadkach (wybory) także względnej, wyraża myśl lub wolę całości. Dzieje się to w ciałach przedstawicielskich, plebiscytach, na wyborach, w sądach kolegjalnych, na zgromadzeniach, na posiedzeniach organów stowarzyszeń, wszędzie z wyjątkiem obrad ściśle naukowych, gdzie liczba nie rozstrzyga mechanicznie o prawdzie. Ten aksjomat życia zbiorowego jest wynikiem długiego rozwoju i bardzo skomplikowanej gry czynników dziejowych. Prawo większości ustalało się u różnych narodów drogą doświadczeń, w miarę tego, jak przekonywano się, że większa liczba jest zarazem silniejsza, więc stale i jakby normalnie przeprowadza swoją wolę. Zanim dany ogół zgodził się z tą zasadą, trzeba było, aby on poczuł się ciągłą całością, i aby z przewagi liczebnej korzystały przez pewien czas różne osoby, dopiero wówczas bowiem indywidualny fakt mógł się skrystalizować w zasadę ogólną.

Punktem wyjścia rozwoju jest tu pierwotna gromada, niezróżnicowana w poczuciu prawa i skłonna do jednakowych popędów woli. W takiej gromadzie starszyzna formułowała uchwały, a tłum aprobował je okrzykiem (jak w Sparcie) lub szczękiem oręża (u Germanów). Już jednak starożytna Grecja zarówno w ustrojach demokratycznych, jak i arystokratycznych wyrobiła ścisłe formy głosowania większością, a w Rzymie rozróżniano wyraźnie obrady, gdzie decydowała liczba (Senat, *Comitia*) od takich wspólnych uchwał, gdzie jeden *magistratus* (np. trybun) mógł swojem *veto* hamować wolę innych. Po wielkiej wędrówce ludów Germanie i Słowianie musieli na nowo uczyć się prawa większości z własnych przeżyć, przy bardzo małem zastosowaniu recepcji urządzeń starożytnych. Tylko Kościół rzymsko-katolicki przechował, na soborach i elekcjach kanonicznych, klasyczną regułę głosowania, choć i on długo wolał uznawać jednomyślność za nieomylny znak głosy Bożego, niż materjalistycznie uświęcać przewagę liczby. Italja świecka, jakby odkopała z pod popiołu rzymskie tradycje, wraz z regułą większości, około XI — XII wieku, poczem zastosowała je, zwłaszcza w Wenecji, w formach nader subtelnych. Germanom czystej krwi o wiele trudniej przyszło przełamywać w swoich gminach i zjazdach politycznych indywidualizm członków; tu po powzięciu uchwały zmuszano wszystkich do ślubowania, iż nie sprzeciwią się jej wykonaniu (Folge). U Słowian pierwotnych także długo nie znano uchwał innych prócz jednomyślnych, zaś opornych bito, wypędzano, a nawet topiono (Nowogród na Rusi).

Wogóle szybkość wyrobienia zasady większości zależała u różnych ludów od zbiegu różnorodnych czynników, które można uogólnić następująco: Reguła większości zapanowuje łatwiej tam, gdzie:

1-mo. Znikają zbyt wielkie różnice między głosującymi, wskutek czego można głosy rachować, a nie ważyć;

2-do. W formalnem głosowaniu po dyskusji wyraźnie widać, kto głosuje za, a kto przeciw wnioskowi;

3-tio. Wspólne niebezpieczeństwo zewnętrzne zmusza niezadowolonych do ulegania woli większości;

4-to. Wewnętrzne parcie (ekonomiczne, religijne, polityczne) ośmiela większość do narzucania swej woli mniejszości;

5-o. Mniejszość, nie mogąc emigrować, uczy się karności;

6 o. Pierwsze próby przegłosowywania mają za przedmiot sprawy, których wykonanie nie zależy od zgody przegłosowanych (a zależą od niej uchwały finansowe i wojskowe);

7-o. Nad wykonaniem uchwał czuwa osobna, silna egzekutywa;

8-o. Głosujący nie krępują się mandatem wyborców ani nie mają władzy nad poddanymi.

Wszędzie tedy najłatwiej poddawała się mniejszość w sprawach wyborów, gdzie elekt mniejszości chętnie rezygnował, albo go silniejszy przeciwnik unieszkodliwiał. Najdłużej opierały się jednostki (fizyczne lub moralne) w sprawach ofiar majątkowych, gdzie nietykalność każdej kieszeni chroniona była osobnem przywilejem, układem czy immunitetem. Duchowieństwo dawało przykład porządnego obradowania miastom, miasta i duchowieństwo szlachcie; związki o charakterze korporacyjnym — innym bardziej luźnym zbiorowościom.

W Anglji królowie nauczyli swe parlamenty łamania woli opornych w ciągu wieku XIV; tak samo jednocześnie królowie francuscy swoje Stany Generalne, przyczem korzystano niemało z nauk kanonistów oraz komentatorów dawnego rzymskiego prawa. Naród, który nie przyswoił sobie reguły większości, albo tracił możność stanowienia o sobie, albo narażał państwo na niebezpieczeństwa i upadek. Tak w Hiszpanji indywidualizm poszczególnych członków Kortezów (aragońskie i katalońskie *dissentimiento*) pomógł do ugruntowania królewskiego absolutyzmu; Niemiecka Hanza upadła w wieku XVII, nie umiejąc się uporać ze sprzecznemi interesami dzielnic i miast; Sejm Rzeszy, który jeszcze w XVII wieku niezupełnie uznawał wolę większości przy uchwalaniu podatków, przestał jednoczyć państwo. W Szwajcarji dochodziło do pękania Kantonów, albo do wyjmowania spraw religijnych z pod decyzji większości. W Holandji opór prowincyj w wieku XVII i XVIII utrudniał obronę narodową, paraliżował politykę zagraniczną. Węgry straciły wolność przez nierząd sejmowy, a to samo powtórzyło się w rozmiarach jeszcze tragiczniejszych z Polską. Wytłumaczono tam w ciągu XVI wieku konstytucyjną zasadę „*communis consensus*“ jako postulat jednomyślności w prawodawstwie, uchwałach podatkowych, wyborach i samorządzie ziemskim, tylko sądy kolegjalne w Polsce wyrokowały większością głosów. Poseł na sejmie, a szlachcic na sejmiku mógł rozbić swojem *veto* każde obrady, o ile nie odbywały się one pod specjalnym „węzłem konfederacji“; dopiero w XVIII zrozumiano, że niema zbawienia poza regułą większości, ale też dlatego sąsiednie państwa utrzymały nierząd i *veto* zbrojnym naciskiem, a potem podzieliły Państwo Polskie.

Nie ulega wątpliwości, że w wielu krajach prawo większości posłużyło do ugruntowania centralizmu i absolutyzmu. Ale odkiedy Rewolucja Francuska pokazała, jak się przy pomocy tej reguły obala wszystkie autorytety i tradycje (gdyż według słów Deklaracji Praw z r. III, „*La Loi est la volonté générale, exprimée par la majorité ou des citoyens ou de leurs représentants*“) wszelkie życie konstytucyjne, zwłaszcza w respublice i demokracji, oparło się na zasadzie większej liczby. Dotyczy to także głosowania w sądach kolegjalnych, gdyż wyjątkowo tylko Anglja żąda od przysięgłych jednomyślności.

Skutki rozwijały się pod wpływem doktryn, które też mają swoją historję. W starożytności Arystoteles pierwszy uzasadnił w swej „Polityce“ regułę większości, jako prostą konsekwencję swobody oraz równości: ideje te (nawet w arystokracji) oznaczają, że każdy bywa naprzemian rządzącym lub rządzonym, co się urzeczywistnia w formie przegłosowywania. Uczeni średniowieczni komentowali Arystotelesa i rozwijali z wielką subtelnością prostą rzymską formułę: „*quod maior pars curiae effecit, pro eo habetur, ac si omnes egerint*“; oni to ustalili takie pojęcia, jak „*maior pars, sanior pars, major et sanior pars, unitas actus*“, poprawa niejednomyślnej uchwały przez akces mniejszości i t. d. Marsyljusz z Padwy pierwszy wypisał ogólną doktrynę, iż władzę w społeczeństwie reprezentuje „*valentior pars*“. Teoretycy prawa naturalnego, z Janem Althusius'em i Hugonem Grotius'em na czele, dowodzili, że społeczeństwo przy zawarciu pierwotnego paktu zobowiązało się słuchać woli większości, wobec czego mniejszość, zgodnie z prawem fizyki (Hobbes, Locke) musi się poddawać, o ile nie decyduje się wyjść ze społeczeństwa (Vattel, Beccaria). Rousseau w „Umowie Społecznej“ posuwał się do twierdzenia, że głosujący obywatel właściwie szuka tylko woli zbiorowej i przez nią jest wolny, jeżeli głosował przeciw, to się omylił, a gdyby postawił na swojem, przestałby być wolnym. Współczesny Rousseau'owi pisarz polski Konarski, nie sięgając do umowy pierwotnej, gruntowniej niż ktokolwiek dowiódł życiowej konieczności rządów większej liczby, które nikomu nie dają stałego przywileju, każdemu zaś równy udział we władzy. Francuz Helvetius szczerze wolałby uszczęśliwić większą liczbę, niż mniejszą, i dlatego poświęca tę ostatnią; tę utylitarną tezę przybrał Jeremjasz Bentham w szaty doktrynerskie, stawiając ponad wszystko „maksymację szczęścia“ t. j. największe szczęście możliwie największej ilości ludzi. Później w kołach republikańskich (np. we Francji pod koniec XIX wieku) można było słyszeć, że po stronie większości bywa z reguły prawda, rozum i sprawiedliwość.

Dziś po tylu rozważaniach, tylu przeróżnych mózgów reguła większości ukazuje się już nie tylko jak przepis obowiązujący w takim a takim kraju, w takiej instytucji, w takich rodzajach głosowań, lecz jako idea ogólna. Idea przyjęła się w masach i pchnęła do usuwania wszystkiego, co tamuje panowanie przeważnej liczby obywateli.

Stosowanie tej ogólnej reguły, czyli przegłosowywanie (majoryzacja—*Ueberstimmung*) różnicuje się w zetknięciu z rzeczywistością, i nastręcza czasem trudności techniczne. Rozróżniamy większość absolutną ($\frac{1}{2}$ N + 1) i zwyczajną (np. 5 głosów przeciw 4 i 3, na dwunastu głosujących); nieraz żąda się większości kwalifikowanej $^2/_3$, $^3/_4$ głosów, albo więcej niż połowy wszystkich uprawnionych do głosowania, albo więcej niż połowy z udziałem pewnych niezbędnych czynników. Naogół nie liczy się nieobecnych, zaś co do wstrzymujących się od głosu różne regulaminy zawierają różne przepisy. Przewodniczący rozstrzyga w razie równości, ale i sam zasadniczo głosuje. Nie zawsze oblicza się większość ściśle, najczęściej tylko na oko: w Rzymie mówiono: „*haec pars maior videtur*“, w Sparcie słuchano, która gromada głośniej aklamuje. Nigdzie prawie

nie żąda się uchwały większości wszystkich uprawnionych do głosu, wystarcza przepisany komplet członków, czyli tak zwane *quorum*, i uchwała nawet bez *quorum* jest ważna, o ile nikt nie zakwestjonował kompletu przed głosowaniem.

Ponieważ celem reguły większości jest stwierdzenie stałej woli, a nie chwilowego pożądania, więc nieraz żąda się głosowania („czytania") dwu- i trzykrotnego. Komplikacje zachodzą, gdy kwestja nastręcza kilka odpowiedzi, a nie tylko proste tak lub nie. Wówczas stosuje się „eliminację" (wyłączenie) tego wniosku, za którym padła w pierwszem głosowaniu najmniejsza liczba głosów, i tak postępuje się dalej, aż jedno z dwóch pozostałych rozwiązań skupi większość bezwzględną. Istnieje zresztą pewien popęd ku większości, który sprawia, że ludzie bez wyrobionego zdania głosują za pierwszą propozycją, przez co odrzucają inne propozycje, choć po namyśle wybraliby jedną z tych ostatnich. Za wzorem Anglji zgromadzenia głosują najpierw nad poprawkami, potem nad wnioskami głównemi i głosowanie za poprawką nie przesądza o przyjęciu przez tychże głosujących samego wniosku. Subtelności te nasunęły się pod wpływem doświadczeń, że wielu uczestników obrad wie lepiej od początku czego nie chcą, niż czego chcą.

Z nowoczesnemi rządami większości nie da się pogodzić królewskie *veto*, podobnie jak *veto* izby wyższej, powstałej nie z powszechnych wyborów (np. Izby Lordów w Anglji, Izby Panów w dawnej Austrji etc.), jak również kurjalne lub klasowe prawo wyborcze, dające więcej głosów arystokracji lub plutokracji. Wszystkie walki o równe, bezpośrednie, powszechne i tajne prawo wyborcze w XIX wieku zmierzały do uświęcenia tego, co Herbert Spencer nazwał „boskiem prawem ludu", t. j. do bezwzględnej przewagi liczby. A jednak czyste rządy większości pozostają z kilku powodów raczej normą teoretyczną niż rzeczywistością.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

SEPARATYZM BRETOŃSKI

Qu'on ne s'étonne pas de cet entêtement que nous mettons à demeurer Bretons par la langue et par les coutumes et qu'on ne nous accuse pas de particularisme. En restant de fidèles Bretons nous ne serons que de meilleurs Français et la grande unité n'aura qu'a y gagner.

(1884 r.) Bouché, biskup w St. Brienc.

PRASA przyniosła niedawno wiadomość, że w Rennes w Bretanji grupa spiskowców separatystycznych dokonała wysadzenia w powietrze pomnika unji francusko-bretońskiej. Władze francuskie zarządziły aresztowania w kołach separatystów bretońskich.

Opinja polska przyjęła te wiadomości ze zdziwieniem. Separatyzm w Bretanji? W jednej z prowincyj francuskich? We Francji — słynącej z tego, że nie posiada w swych granicach zagadnienia mniejszości narodowych?

Tak. Separatyzmy we Francji istnieją. Jeśli nie liczyć separatyzmu flamandzkiego w Belgji, który, choć godzi w całość cywilizacji francuskiej, nie jest zjawiskiem francuskiem w znaczeniu państwowem,— istnieje we Francji separatyzm niemiecki w Alzacji i celtycki w Bretanji. Istnieją także prądy separatyczne włoskie na Korsyce i katalońskie w Roussillon, a nawet pewne zalążki separatyzmów pośród Prowansalczyków i Basków. Francja jest krajem wybitnie niejednolitym językowo, a tam, gdzie są objektywne cechy odrębności, tam nie może się obejść bez doktrynerskich głów, któreby z tej odrębności chciały wyciągać krańcowe konsekwencje. Doktrynerzy rodzą się wszędzie na świecie — rodzą się więc i we Francji. Nie można się dziwić temu, że są, — raczej należałoby się dziwić, gdyby ich nie było.

Fakt istnienia doktrynerów separatystycznych jest rzeczą naturalną, — równie nieuniknioną, jak niegroźną. Ale jest różnica między doktryneryzmem romantycznych marzycieli, — tkwiących na partykularzu literatów i działaczy ludowych, — i akcją, wyrażającą się w spiskach, posługujących się ładunkami materjału wybuchowego. Zaiste, długa musiałaby być droga organicznego rozwoju, którаby od naiwnych studenckich stowarzyszeń, od nieszkodliwych wierszyków i światoburczych artykułów, drukowanych w wydawnictwach pozbawionych czytelników, mogła doprowadzić do wystąpień tak zdecydowanych. Czyżby tę drogę Bretanja odbyła? Tak niepostrzeżenie, — bez zwrócenia na przebieg tej drogi dotychczas przez kogokolwiek uwagi? A może drogę tę skrócono mechanicznie? Może nikłej, doktrynerskiej roślince sztucznie dodano soków odżywczych, — troskliwą opieką ułatwiono jej rozwój?

Warto to spenetrować bliżej.

A więc — jakże się ta sprawa separatyzmu bretońskiego przedstawia?

Zapoznajmy się najpierw bliżej — z samą Bretanją. Bretanja, dawna Armoryka, w starożytności kraj niemal bezludny, została w piątym wieku p. Ch. skolonizowana przez falę uchodźców celtyckich, przybyłych z Brytanji (Wielkiej), a wypartych stamtąd przez napór najeźdźców anglosaskich. Odtąd Armoryka stała się Brytanją, czy Bretanją (Małą). Celtowie bretońscy nie są więc potomkami dawnych Gallów,—należą do wyspiarskiej gałęzi szczepu celtyckiego, a najbliżej spokrewnieni z Walijczykami.

Od początku swego przybycia na Armorykę, zorganizowali się Bretończycy państwowo — i przez szereg wieków zwycięsko bronili swej niezależności. Wkrótce jednak dostali się pod przemożny wpływ, zarówno cywilizacyjny jak polityczny swych wielkich, francuskich sąsiadów — i z czasem stali się częścią królestwa Francji. Ich połączenie z Francją nie nastąpiło drogą podboju: tak jak połączenie Polski z Litwą, dokonało się ono w drodze unji. Nawet okoliczności zewnętrzne tej unji były zadziwiająco i niejako symbolicznie do tamtej podobne: młodziutka księżna Bretanji Anna, choć poślubiona już kochanemu przez siebie księciu Maksymiljanowi, dla dobra kraju uczyniła — podobnie jak stulecie przedtem Jadwiga — ofiarę ze swego szczęścia osobistego i po przeprowadzeniu za dyspensą papieską rozwiązania jej poprzedniego związku, wyszła w roku 1491 za niemiłego sobie króla Francji, Karola VIII. W dokonanej tym sposobem unji, Bre-

tanja zastrzega sobie jednak szereg przywilejów i swobód, które zachowała aż do rewolucji. W okresie najpełniejszego absolutyzmu francuskiego, Bretanja rządzona była zgoła nie absolutystycznie, — a reprezentacja stanów bretońskich nie przestała nigdy funkcjonować. Dopiero rewolucja zniweczyła odrębność Bretanji, zamieniając ją na zwykłą, podzieloną na departamenty prowincję francuską. Bretanja ma więc za sobą — od początków wieku V aż po koniec wieku XVIII — czternaście nieprzerwanych wieków niepodległej, lub autonomicznej historji. Słusznie mógł La Borderie, profesor historji bretońskiej na uniwersytecie w Rennes, powiedzieć w wykładzie inauguracyjnym w r. 1891, że historja Bretanji to nie jest historja prowincji tylko, lecz historja oddzielnego narodu. „*C'est que la Bretagne est mieux qu'une province, elle est un peuple, une nation véritable et une société à part, non pas étrangère à la nation, à la société française, mais du moins parfaitement distincte dans ses origines, parfaitement originale dans ses eléments constitutifs... La Bretagne, c'est un caractère, un caractère national, bien tranché, bien trempé; par là même c'est un peuple, nou pas seulement une province, mais une nation qui a eu son existence propre, originale, indépendante*“.

Czyż podobne słowa nie mogłyby paść z ust profesora uniwersytetu w Wilnie, wykładającego dzieje Litwy? Tak samo odrębna jest przeszłość Litwy od Polski, tak samo odrębna jest indywidualność duchowa Litwy — i tak samo pomimo to wspólne są ogólne, łączące ją z Polską ramy cywilizacyjne i polityczno-narodowe. Bretanja we Francji, Szkocja w Wielkiej Brytanji, Litwa w Polsce zajmują stanowisko wybitnie analogiczne.

Analogiczność stosunku Bretanji do Francji ze stosunkiem Litwy do Polski występuje tem wyraźniej, im więcej faktów z życia jednej i drugiej z sobą porównywać.

Bretanja dzieli się na dwie części, wspólne historją, lecz odrębne obecnem obliczem etnicznem: Bretanję Górną i Bretanję Dolną. Górna Bretanja, tak jak na Litwie Wileńszczyzna do Polski, upodobniła się etnicznie do siostrzycy francuskiej i jest krajem nawskroś francuskim językowo. Bretanja Dolna *(Basse Bretagne)*, posiadająca zresztą w swych granicach liczną mniejszość językową francuską, należącą przeważnie do wyższych warstw społecznych, zamieszkana jest — podobnie jak Żmudź — przedewszystkiem przez około 1.200.000 głów liczącą masę ludową, mówiącą po dziś dzień językiem tubylczym, to znaczy celtyckim.

Bretanja, tak jak Litwa, czy też Żmudź, jest krajem nawskroś i do głębi duszy katolickim — i ten katolicyzm, ta głębia jej uczuć katolickich, zarysowuje się w jej życiu wybitnem i niezatartem piętnem.

Bretanja, tak jak Litwa do skarbnicy cywilizacji ogólnopolskiej, wniosła do skarbnicy cywilizacji francuskiej szereg wybitnych i oryginalnych walorów, wzbogacających tę cywilizację, lecz jej nie przeciwstawnych. Chateaubriand, Ernest Renan, czy tylu innych, to są zjawiska wprawdzie nie tej samej wagi w życiu ogólnonarodowem, co u nas Mickiewicz, Moniuszko i inni, — są analogiczne jednak z niemi dzięki temu, że łączą w sobie cechy odrębności, wynikłe z pochodzenia z bratniego lecz odrębnego plemienia, z cechami patrjotyzmu ogólnonarodowego i przynależności duchowej do narodu jako całości.

Bretania wreszcie, tak samo jak Litwa, wytworzyła swój ruch regjonalny pierwotnie najściślej w ramach swej szerszej ojczyzny. Tak samo jak na Litwie pierwszymi badaczami języka i folkloru, pierwszymi zbieraczami pieśni ludowych, pierwszymi literatami i publicystami byli ludzie o polskiej kulturze i polskim patrjotyzmie, uważający tę swoją działalność w duchu dzielnicowym jedynie tylko za wzbogacenie życia ogólnopolskiego, tak samo i w Bretanji długa plejada działaczy celtyckich, takich jak poeta i zbieracz pieśni ludowych La Villemarqué (1815 — 1895), muzyk i zbieracz melodyj ludowych, Botrel jezykoznawca Le Gonidec, poeta Brizeux, historyk La Borderie, literat i publicysta Le Goffic i tylu, tylu innych — to są patrjoci francuscy, — ludzie przynależni do narodu francuskiego, dla których oba języki: francuski i bretoński są w równym stopniu mową ojczystą i dla których bliższa ojczyzna bretońska jest nierozerwalną częścią szerszej ojczyzny francuskiej. Tylko zupełnie sporadycznie zjawiały się na gruncie bretońskim pojedyńcze, doktrynersko nastrojone jednostki, występujące z literackiem marzeniem (bo nie programem nawet) — zerwania z Francją. Ruch regjonalistyczny bretoński jako całość, nigdy nie był wobec Francji i francuskiego patrjotyzmu przeciwstawny — był zawsze ruchem regjonalistycznym tylko i niczem więcej. Nie różnił się niczem od innych ruchów regjonalistycznych w nieco nadmiernie ściściśniętej centralizmem Francji, — ruchów takich, jak np. regjonalizm lotaryński, reprezentowany przez tak wybitnego patrjotę i narodowca francuskiego, jak p. Louis Marin — i pozostawał z temi ruchami regjonalistycznemi w innych dzielnicach Francji w mniej lub więcej bliskim kontakcie.

Jeszcze jedną analogję Bretanji z Litwą należy wymienić: rolę, jaką w ruchu regjonalistycznym odegrał tam kler. I tu i tam księża, pochodzący z ludu i działalnością swoją ściśle z ludem związani, okazali wiele zainteresowania dla poczynań społecznych i kulturalnych, mających lud miejscowy i jego swoistą kulturę za przedmiot. I tu i tam biskupi przyczynili się niemało do powodzenia ruchu, popierając dążność literatów i językoznawców do stworzenia jednolitej mowy literackiej, przez utorowanie drogi tej naukowo i artystycznie obrobionej mowie do kazań i do piśmiennictwa religijnego.

Różnica natomiast między Litwą a Bretanją jest ta, że o ile ruch litewski, przez popowstaniowe rządy rosyjskie na Litwie od kontaktu z polskością odgrodzony i przeciw polskości przez Rosję i Niemcy stale podjudzany zorganizował się odrazu jako ruch samoistny, nie szukający sobie miejsca wewnątrz życia polskiego, bo życiu temu przeciwstawny, — o tyle ruch bretoński jest w swym całokształcie ruchem nacjonalistycznie francuskim.

Istnieje jednak grupka separatystów bretońskich, dążących do zerwania z Francją — i w ostatnich czasach przejawia gorączkową aktywność. Nie można jej znaczenia nie doceniać. Hasło „*Breiz d'ar vreiziz!*“ (Bretanja dla Bretonów) zaczęło rozbrzmiewać już przed wojną. „*Parti nationaliste breton*“ występuje nawet z własnemi kandydaturami przy wyborach. Ruch ten nie jest wprawdzie ewolucyjnym wynikiem ogólnego ruchu regjonalistycznego, jest raczej wobec niego frondą, — lecz bądź co bądź istnieje.

Skąd on się wziął? Oczywiście — nieodzownym warunkiem do jego powstania były doktrynerskie

głowy krańcowych marzycieli bretońskich. Bez ich współudziału ruch nie byłby powstał. Ale czy byłby powstał tylko dzięki nim samym, — bez pomocy i innych czynników, sprzyjających jego rozwojowi? Niewątpliwie, — całkowita odrębność językowa bretońska (tak samo jak odrębność litewska) sprzyja lepiej tendencjom separystycznym, niż nieznaczne wyodrębnienie językowe Prowansaiczyków, dolnych Niemców, Kaszubów, Białorusinów. Nadmiar centralizmu francuskiego, dławiącego życie poszczególnych dzielnic i będącego, zwłaszcza w czasach nowszych, źródłem wielu rozdrażnień, rozgoryczeń i oburzeń, też się z pewnością do usunięcia mogących się gromadzić materjałów palnych nie przyczynia. Ale czy wszystkie te czynniki mogłyby wystarczyć dla stworzenia ruchu, któryby przy całej swej słabości liczebnej miał tyle prężności?

Sprobujmy o możliwych dodatkowych przyczynach tego ruchu pomyśleć dedukcyjnie. Jak rozwijały się ruchy takie w innych krajach? — Niemal jako regułę przyjąć możemy, że najżywiej rozwijają się te ruchy separatystyczne, które popiera jakaś podnieta zewnętrzna. Ruch serbski na Węgrzech, ruch rumuński w Siedmiogrodzie, ruch polski na na Górnym i Cieszyńskim Śląsku lwią część swego powodzenia zawdzięczają, — prócz sprzyjającej konjunktury lokalnej i prócz pierwszych poczynań inicjatywy miejscowej — bodźcom z Belgradu, z Bukaresztu, z Poznania, z Krakowa.

Ale gdzież mógłby znaleźć podnietę separatyzm bretoński? Gdzież on ma zakordonowych pobratymców?

Ruch litewski i ruski, zwrócony ostrzem przeciw Polsce, nie od pobratymców otrzymał pomoc i podnietę. Otrzymał ją od pragnących rozbić naród polski — Niemców.

Niemcy chętnieby widzieli uszczuplenie Francji, — to jest jasne jak dwa a dwa cztery. Niepodobna sobie wyobrazić, by polityka niemiecka mogła się nie interesować możliwościami wyhodowania separatyzmów we Francji, — mogła się nie pokusić o próbę zastosowania metod, tak skutecznie stosowanych w Polsce — na gruncie francuskim. Jest rzeczą pewną, że możliwość wyhodowania separatyzmów we Francji wchodzi do rachub politycznych — Berlina.

Dochodzimy tu do sedna kwestji. Aktywność separatyzmotwórcza niemiecka ujawnia się bynajmniej nie tylko w Europie wschodniej. Nie mówiąc już o udziale inicjatywy i gotówki z za Renu w „autonomizmie" alzackim, co jest zjawiskiem całkiem naturalnem, — Niemcy podsycali zawsze separatyzm flamandzki.

Między Bretanją a Alzacją panuje nieustanny ruch. Jeżdżą „autonomiści" alzaccy do Bretanji, podburzać, agitować, instruować. Jeżdżą celtowie bretońscy do Alzacji — kształcić się i zdobywać wzory. Kontakt separatystów bretońskich z niemczyzną po wojnie jest rzeczą nie ulegającą kwestji.

Rzeczą nie ulegającą kwestji jest również ostrożne, unikające wszelkich pozorów antyfrancuskiego nastawienia[1]), jednak bardzo żywe zainteresowanie dla Bretanji w Niemczech.

Tu leży niewątpliwie istotne źródło separatyzmu bretońskiego. Nie będziemy zapewne dalecy od prawdy, twierdząc, że nad tworzeniem tego separatyzmu pracuje polityka niemiecka już od wielu, wielu lat, — już od jego pierwocin. Do wysunięcia tej hypotezy skłania nas — własne, polskie doświadczenie. Niewątpliwie z tego samego źródła pochodzi materjał wybuchowy z pod pomnika w Rennes, co spłonki zapalające sabożystów ukraińskich w Małopolsce — i niewątpliwie z tej samej inspiracji wzięły początek idee separatystyczne bretońskie, co takież idee litewskie i ruskie.

Możemy życzyć naszej francuskiej sojuszniczce, by idąc za naszem doświadczeniem wzięła się do zlikwidowania swych separatyzmów, rychło, energicznie i taktownie — i by nie czekała, aż rozrosną się one z małych, nieszkodliwych zalążków w ruchy niebezpieczne i silne.

WIEL.

[1]) Jako próbkę tej dążności niemieckiej do niebudzenia czujności francuskiej możemy wskazać książkę M. Zur: *„Der bretonische Regionalismus in Frankreich"* (Wrocław 1930), — w której jest wszystko powiedziane, co mogłoby intesować pragnącego pomniejszenia Francji Niemca, — w której jednak jest pełno frazeologji frankofilskiej i pełno wyrażania radości, że ruch bretoński na destrukcyjne tory antyfrancuskie nie zejdzie.

Z OSTATNICH CHWIL A. MICKIEWICZA

(OKOLICZNOŚCI ZGONU)

ŚWIADKÓW naocznych zgonu A. Mickiewicza [1]) było dwunastu. Mianowicie: dwaj przyboczni towarzysze: Lévy i Służalski, ksiądz Ławrynowicz, czterech lekarzy: Gembicki, Drozdowski, Narkiewicz i Szostakowski, kilku wojskowych: „pułkownik" Bednarczyk, pułkownik Kuczyński (Skinder-bey), kapitanowie Perkowski i Rudnicki, wreszcie historyk Duchiński. Świadkiem nie samej śmierci, ale ostatnich chwil przedśmiertnych była właścicielka domu, w którym Mickiewicz najął mieszkanie, żona oficera tureckiego de Flory, Polka, z domu Rudnicka czy Radzikowska.

Z tych 13 osób sześć zostawiło mniej lub więcej szczegółowe relacje o przebiegu ostatniego dnia w życiu Mickiewicza. Relacje są naogół wczesne, pochodzą z dni najbliższych po zgonie, podają więc wiadomości na gorąco. Dwie tylko zanotowane zostały później, po latach, z przypomnienia. I tak: najwcześniejszą wiadomość o śmierci przesłał do Paryża Służalski, depeszą i listem z 28 listopada (rkp. u Czartoryskich nr. 5610); z jego opowiadania wziąwszy szczegóły, pisali do Paryża równocześnie o wypadku Kosiłłowski (u Wł. Mickiewicza, „Żywot", IV, 452) i porucznik Leval (rkp. u Czartoryskich). Dn. 29 listop. pisał o temże dr. Drozdowski do L. Zwierkowskiego (rkp. tamże; szczegóły o śmierci również w liście jego z dn. 23 grud.). Z dn. 3 grudnia jest list A. Lévy'ego do Wł. Mickiewicza (tekst franc. w rkp. Czartor. nr. 5523, przekład pol. u Wł. Mickiewicza, IV, str. XCV); inna, szczegółowsza jego relacja, z września 1856, zachowana w archiwum Muzeum Mickiew. w Pa-

[1]) Zob. „Myśl Narod." z r. b., nr. 44 i 45.

ryżu. Podobnież Służalski spisał później, w Paryżu, szczegółową relację o zgonie (zob. w „Pracach Komisji do badań nad historją literatury i oświaty“, Warszawa 1914, I, 39n.). Bez daty, ale wczesny jest list H. Kuczyńskiego („Koresp. A. Mickiewicza“, II, 139n.). Z czasów znacznie późniejszych (1886) jest opowiadanie Bednarczyka (u J. Sokulskiego, „Polacy na Wschodzie“ 1907, i ostatnio ponownie w „Ruchu Literackim“ 1932 r.), tudzież wiadomość powzięta z rozmowy z ową p. Radzikowską („Głos Narodu“, 1897, nr. 88).

Oprócz wymienionych świadków naocznych mamy jeszcze trochę wiadomości od ludzi współczesnych, dalej nieco stojących. L. Śniadecka, mając szczegóły od Drozdowskiego, podała je w liście do Zwierkowskiego zaraz dn. 29 listop. („Gazeta Polska“, 1932, nr. 250 — 251; inna jej relacja w rkp. Akad. Umiejęt.). Czajkowski, pisząc po latach stosowny ustęp w pamiętnikach (przedrukowywano go parokrotnie w prasie, ostatniemi czasy np. „Wiadom. Liter.“, nr. 38, „Gaz. Lwow“. z dn. 21 i 22 wrześ. 1932 r.), opierał się oczywiście na posłuchach, bawił bowiem w Burgas i świadkiem śmierci nie był. Podobnież Sawiczewski („I. K. C“. 1932, nr. 241) widział Mickiewicza tylko w Burgas, a co opowiadał (1907) o wypadku śmierci, zasłyszał jedynie z pogawędek osób postronnych.

Z relacyj tych możemy sobie odtworzyć dość szczegółowo, i — dodajmy — dość jednozgodnie, przebieg ostatniego dnia w życiu poety, poznać zdołamy okoliczności, a potrosze i przyczyny jego zgonu.

Z wycieczki do Burgas wrócił Mickiewicz do Konstantynopola (17 paźdz.) chory. Czy przyczyną choroby były niewygody obozowe, czy forsowne wyprawy myśliwskie, organizowane przez Czajkowskiego z powodu jego pobytu, czy też owa wieczerza kozacka (o której opowiada Sawiczewski) z bigosem z tłustej baraniny i stęchłego salami, czy jeszcze co innego, — nie będziemy tu dochodzić; dość, że Mickiewicz wyjechał chory, a sam Czajkowski nie mógłby mieć w tym wypadku czystego sumienia. Objawy choroby wskazywały na ostrą biegunkę; „Mickiewicz słaby był na diarję“ wspomina dr. Drozdowski. Choroba wszelako przeszła stosunkowo szybko. Dn. 22 października pisał Drozdowski (u którego, nawiasem mówiąc, Mickiewicz podówczas mieszkał) do Zwierkowskiego: „P. Mickiewicz był cierpiący, ale teraz jest lepiej. Spodziewam się, że za kilka dni zacznie wychodzić“. Potem dn. 1 listop.: „P. Adam ma się lepiej. Był wczoraj z wizytą u s. przełożonej ss. Miłosierdzia; był bardzo zadowolony z tej wizyty“. Wreszcie wiadomość z 5 listop., zupełnie już pomyślna: „P. Adam jest zupełnie zdrów; byłem z nim wczoraj u p. Alleona, z którego dosyć był kontent“. Niebezpieczeństwo zatem minęło.

W tym czasie Mickiewicz zmienił mieszkanie. Od Drozdowskiego, gdzie we trzech zajmowali jeden pokój, a kufra używali zamiast stołu, przeprowadził się do brudnej i ciasnej dzielnicy Pera, gdzie Służalski wynajął mieszkanie 3-pokojowe. Dlaczego tam, a nie gdzieindziej, nie w nowoczesnej części miasta? Mówiono, że poecie spodobało się tam, bo prymitywne warunki otoczenia przypominały mu rodzinny Nowogródek.

Utyskiwał jednakowoż na to Drozdowski:

„Wzięto mieszkanie w nędznem bardzo miejscu i odległem. Stołowali się w jakichś tam garkuchniach. Mówiłem Służalskiemu i temu Żydowi, który był z nim, że to mieszkanie bardzo niezdrowe, ale Służalski mi powiedział, że p. Adam to mieszkanie bardzo lubi i innego nie chce“.

Tak czy owak, jedno można przyjąć za pewne: nie uczynił tego Mickiewicz z powodu niedostatku, jak to niedawno usiłowano przedstawić.

Wyjeżdżając na Wschód, miał Mickiewicz do dyspozycji ponad 7 tysięcy franków, sumę zatem wcale znaczną; 4200 dawał rząd francuski, a 3000 Morawski. Funduszu tego poeta nie wyczerpał. Opowiada Bednarczyk, że poprawiając mu poduszkę, niewiele co przed śmiercią, zasunął głębiej leżącą tam kamizelkę ze złotem; jakoż wiemy od Drozdowskiego, że po zmarłym pozostało gotówką 100 luidorów. Legenda o ostatecznej nędzy Mickiewicza na Wschodzie nie ma więc uzasadnienia.

Przeprowadziwszy się do Pery, żywił się Mickiewicz, jak już wiemy, po garkuchniach, a gdy był słaby, towarzysze sporządzali mu posiłek w domu. W ten sposób, w przeddzień zgonu (w niedzielę) poczęstowali go kurczęciem pieczonem, jak przyznaje Lévy, czy też ową tłustą kaczkę, której sławę zrobił był Czajkowski. Na drugi dzień przyszła katastrofa. „Nie była to choroba, — powiada Służalski, — ale piorun, co uderzył męża tego“.

Co do momentu wystąpienia pierwszych objawów ostatniej gwałtownej choroby, brak zgody między świadkami. Lévy pisze, że do południa 26.XI Mickiewicz czuł się dobrze, a pierwsze wymioty porwały go tuż przed 2-ą popołudniu. Służalski jeszcze więcej — twierdzi, że stało się to dopiero po 4-ej. Drozdowski natomiast świadczy, że objawy cholery wystąpiły już o 11-ej rano. Bednarczyk zaś, który wprost zarzuca Lévy'emu i Służalskiemu, że usiłowali potem zakryć przed ludźmi swe zaniedbanie i fałszowali wiadomości, twierdzi, że sam chory opowiadał mu, jak pierwszy atak przyszedł już o 6-ej rano

Najbliżsi towarzysze nie zdawali sobie sprawy z grozy położenia, przypuszczali przejściową tylko niedyspozycję. Nie przejmując się nią, zajęli się swojemi kłopotami. Lévy wybrał się za interesami swego „legjonu“ do seraskieratu, Służalskiego wywiodły kłopoty aprowizacyjne. Co do czasu odejścia znowu między świadectwami rozbieżność. Lévy mówi o sobie (podobnie Kuczyński), że wyszedł dopiero o g. 2-ej, wrócił zaś o 4-ej; Służalski o sobie, że wyszedł o 4-ej na dwadzieścia minut. Bednarczyk zaś, który został przy chorym na czas ich nieobecności, twierdzi, że po 11-ej już byli obaj odeszli, a powrócili dopiero około 5-ej. Nie będziemy wszelako rozsądzać tutaj tego sporu. Faktem jest, że lekarza do chorego nie wezwano, aż dobrze po południu.

Podczas nieobecności Lévy'ego i Służalskiego Mickiewicz miał silny atak choroby i zemdlał. Bednarczyk z gospodynią ułożył go na łóżku i teraz dopiero pobiegł po lekarza. Ale stan był już beznadziejny. Lekarz ten, dr. Gembicki, to też jedna z tych niewyraźnych osobistości, od jakich podówczas się roiło na tyłach armij sprzymierzonych. Podobnoś żyd z pochodzenia, jeniec czy zbieg z wojska rosyjskiego, zatrudniał się—według świadectwa Śniadeckiej—szpiegostwem. Mickiewicz go nie znał, nie miał widocznie doń zaufania, nie chciał się poddać jego zabiegom. Bądź co bądź dr. Gembicki pierwszy, zdaniem Bednarczyka, postawił wyraźną diagnozę, że to cholera, i—aczkol-

wiek już bez przekonania—próbował chorego ratować. Było zapóźno.

Już po powrocie Służalskiego i Lévy'ego Mickiewicz zażądał księdza Ławrynowicza, rodem z Litwy, który tam był zajęty przy kościele lazarystów św. Benedykta, ale ksiądz zastał umierającego już bez przytomności. Razem z ks. Ławrynowiczem przybył dr. Drozdowski, nie wezwany przez Służalskiego, jak to podaje Bednarczyk, ale z własnego impulsu, dowiedziawszy się o wypadku. Wieść widać rozeszła się szybko, bo w wieczór schodzić się zaczęli rodacy. Poeta atoli był już w agonji, około godz. 9-ej oddał ducha.

O fatalnym zbiegu nieopatrzności i zaniedbań z goryczą pisze Drozdowski do Zwierkowskiego:

„W dzień, kiedy Mickiewicz zachorował, Lévy, biorąc to za małą niedyspozycję, poszedł do Stambułu, a p. Służalski nie pośpieszył także sprowadzić Polaków i sprowadził, kiedy chory już był bez nadziei, i to doktora, który nie jest znany w Stambule. Zachorował o g. 10-ej rano, o g. 6-ej wieczorem służącego przysłali do St. Benoit za ks. Ławrynowiczem, którego przypadkiem spotkałem i który mi powiedział, że Adam już jest beznadziejny. Z nim udałem się jak najprędzej do p. Mickiewicza, ale już go znalazłem bez żadnej nadziei; był już zimny, bez pulsu i prawie bez przytomności. Już była godz. 7-a, o 9-ej żyć przestał".

Na co umarł Mickiewicz, co to była za choroba, co go zmogła, tutaj także niema zgody między świadkami. Dr. Gembicki w świadectwie swem pisze ogólnikowo o „*une maladie compliquée avec une congestion cérébrale*". Służalski, Drozdowski, Bednarczyk piszą wyraźnie o cholerze, podobnież Lévy początkowo wspomina o „piorunującym ataku cholery". Ale sprawa nie jest jasna. Z czterech obecnych lekarzy, dwóch (Narkiewicz i Szostakowski) podtrzymywało swą diagnozę, że to nie jest cholera (Wł. Mickiewicz, l. c., IV, 453), podobnież utrzymywała gospodyni domu. „Przeczy ona najzupełniej temu",—pisał ktoś na podstawie rozmowy z nią,—„by Mickiewicz zapadł na cholerę, a szczegóły przez nią podane dowodzą błędności tego mniemania najzupełniej". Tegoż zdania był Sawiczewski. Lévy sam później porzucił swój sąd kategoryczny i pytania nie rozstrzygnął. „Kto to może wiedzieć napewno",—pisał w dzienniku. Niewiemy i my dzisiaj napewno i zapewne już się nie dowiemy. *Ignoramus et ignorabimus*.

Jedno w każdym razie jest pewne: nie było wtedy mowy o otruciu. Nikt, ani z przyjaciół, ani z przeciwników działalności Mickiewicza, ani z pośród stronników Sadyka, ani z obozu Zamoyskiego, nikt wreszcie z postronnych, ani w Konstantynopolu, ani w Paryżu, z oskarżeniem takiem nie występował, nikomu poprostu na myśl ono przyjść nie mogło. Nie spotykamy się z niem w listach współczesnych, dość licznie dochowanych, i to z różnych zwalczających się podówczas namiętnie ugrupowań. Nie postawił go nawet generalny kalumnjator na emigracji, J. B. Ostrowski, choć właśnie podówczas atakował Zamoyskiego, nie przebierając w środkach, nie cofając się przed zarzutem zdrady narodowej i grabieży funduszów publicznych [2]).

Bednarczyk wspomina, że plotka taka zjawiła się wśród „gawiedzi" stambulskiej i że rzucano podejrzenie na dr. Drozdowskiego. O absurdalności plotki, o tem, że wśród polonji stambulskiej nie było absolutnie podłoża psychicznego do tego rodzaju zbrodni, — była tu już mowa poprzednio; szkoda na to słów więcej. Absurdalność podejrzenia, skierowanego przeciwko dr. Drozdowskiemu, też jest najoczywistsza. Nie był on przecież bynajmniej fanatycznym stronnikiem Zamoyskiego, stał— podobnie jak Mickiewicz — po stronie Sadyka, był w ścisłych stosunkach ze Zwierkowskim, najbardziej oddanym przyjacielem Czajkowskiego; na formację Sadyka łożył był duże sumy. W sympatjach swoich sekundował więc Mickiewiczowi, bynajmniej mu się nie przeciwstawiał.

Nazwisko Drozdowskiego związało się raz jeszcze z okolicznościami zgonu, raczej pogrzebu Mickiewicza. Był on zdania, że zwłoki poety winny pozostać w Konstantynopolu, że Mickiewicza należy pochować w kościele lazarystów, u św. Benedykta. Tak stawiając sprawę, miał Drozdowski za sobą jakoby aprobatę ks. A. Czartoryskiego. Zamierzeniu temu atoli jak najenergiczniej sprzeciwił się Lévy, który odrazu odwieźć chciał zwłoki do Paryża. Zaczęły się niemiłe i gorszące, przewlekłe zabiegi jednej i drugiej strony, to w ambasadzie francuskiej, to aż w Paryżu. Waśń tem boleśniejsza, że skutkiem niej doznała uszczerbku cześć należna zwłokom. Lévy i Służalski, obawiając się jakoby podstępu, nie zgodzili się na eksportację, choćby tymczasową, zwłok do kościoła, tylko trzymali trumnę w mieszkaniu, pilnując jej przez dni 33. Z oburzeniem pisał o tem Drozdowski:

„Ci dwaj nieodstępni przyjaciele Mickiewicza, Służalski i Lévy, wytrzymali te święte zwłoki przez pięć tygodni bez obrządku religijnego i w najnędzniejszem miejscu. To nie dla żyda, ale dla katolika hańba!".

Ostatecznie zwłoki dostały się na okręt francuski „Eufrat" i dn. 30 grud. odjechały do Marsylji. Nie obyło się i teraz bez niemiłego incydentu.

---

[2]) Zob. artykuł mój „Burda na pogrzebie Mickiewicza" w „Głosie Narodu" 1932 r., nr. 287—288.

Skoro mowa o rzekomych poszlakach otrucia, niesposób odmówić sobie satysfakcji przyjrzenia się bliższego jednej z wysuniętych. Wypadek jest wymowny i w znacznym stopniu typowy. Po głośnem wystąpieniu Boya, odezwał się w krakowskim „Nowym Dzienniku" niejaki Majer Lieber (nr. 242), opowiedział szeroko, jak to z trudem się przebijał przez rękopisy u Czartoryskich i jak wyłowił z nich urywek, opinję o Mickiewiczu z listu Skrzyneckiego (1855 r.). Generał użala się tam, że Mickiewicz „zrobiwszy publiczne zgorszenie, publicznie go nie nadgrodził". Nasz „badacz" rozumie, że mowa tu o „legjonie" żydowskim i widzi w liście dowód, że „prowodyrzy emigracji nie ubolewali zbytnio nad śmiercią poety, byli nawet poniekąd radzi i zadowoleni z tego". Rzecz jasna, w artykule „odkrywcy" nie obyło się bez salem-alejków w stronę Boya, którego wywody uzyskują oto w cytowanym dokumencie jakoby „pełne uzasadnienie i poparcie". Boy naturalnie nie został dłużny, grzecznie się p. Lieberowi odkłonił („Wiad. Liter.", nr. 40), a urywek potraktował jako „typ jednego z owych dokumentów, których „znalezienia" nasi historycy starannie się wystrzegają". Cóż, wiadomo: bronzownicy, których zawołaniem zawodowem jest: „taić, przeinaczać, lakierować".

Sprawa tymczasem nie jest tak tragiczna; jest raczej komiczna, choć nie z tej strony, o której myśli Boy. P. Majer Lieber, grzecznie mówiąc, zmyślił. Nie mógł on swego urywku odkryć w archiwum Czartoryskich, bo rękopisu nr. 5610 podówczas, i to od długiego czasu w Krakowie nie było; rzekomy trud poszukiwania jest wytworem autorskiej wyobraźni. Nie potrzebował też tego urywku odkrywać, bo go zwyczajnie odpisał z druku; znalazł go zaś — śmiesznie powiedzieć — u Kallenbacha (II, 511). Okazuje się więc, że ten bronzownik nad bronzowniki dokumentu ani nie zataił, ani nie zalakierował. Jeżeli zaś o treść urywku chodzi, to „panowie specjaliści" nie mają się co trudzić, by ją „zakłamywać", — jak to im po rycersku insynuuje Boy. Skrzynecki mówi tu o towianizmie Mickiewicza; z „legjonem" żydowskim, czy jakąś inną „hańbą" nie ma to najmniejszego związku. „Zrozumie to każdy Grześ".

„Lévy"—pisze Drozdowski—„nie chciał płacić za mieszkanie, gdzie ten wielki człowiek umarł, o co były wielkie trudności, a to już przy ambarkowaniu. Nareszcie Służalski pokłócił się z Lévy'm. Chwała Bogu, że to już się skończyło!".

*

Z przedstawionego przebiegu wydarzeń widać, że śmierć wyrwała Mickiewicza w toku działania, niespodzianie i przedwcześnie. Gotował się on właśnie na wyjazd do Serbji, zamierzał pomagać przy formacji pułków słowiańskich pod Sadykiem; tymczasem przyszło mu poniechać pracę u początku. Można też — sądzę — nabrać przeświadczenia, że przy innym układzie rzeczy dałoby się tego nieszczęścia uniknąć. Potrzeba było na to tylko zadbać o inne warunki życia dla poety i inną otoczyć go pieczołowitością. Wszyscy widzieli, że tego nie było. Nic więc dziwnego, że gdy nagle uderzyło nieszczęście, nie brakło — po niewczasie — żalów, oskarżeń, że znalazł się grunt nawet pod dzikie plotki „gawiedzi".

Nie wchodząc bliżej na własną rękę w wyszukiwanie winowajców tej śmierci przedwczesnej, ograniczymy się do przypomnienia świadectwa współczesnego, wiarygodnego i szczegółowego, stawiającego zaś sprawę wcale wyraźnie. Świadectwo to, pióra T. T. Jeża, aż dziw, że uszło uwadze historyków; nie przypomniano go nawet w ostatniej potrzebie, podczas niedawnej, ożywionej dyskusji o okolicznościach zgonu Mickiewicza.

Jeż jest tutaj świadkiem dobrym. W owoczesnym sporze orjentacyj politycznych stał na stronie, właściwie zaś, jako stronnik jen. Wysockiego, zwalczał akcję legjonową Sadyka zarówno jak Zamoyskiego. W Konstantynopolu był podówczas obecny, aczkolwiek nie w samym dniu śmierci Mickiewicza. Niemniej zbierał wieści na świeżo i bezpośrednio. Tego zaś, co wiedział, nie chował bynajmniej pod korzec. Relację swą spisał był wcześnie, a drukiem ogłosił ją już w r. 1858 w serji wspomnień, ogłaszanych w lwowskim „Dzienniku Literackim" p. t. „Z pamiętników włóczęgi".

Oto co tam czytamy (nr. 129):

...„Nie znałem Mickiewicza osobiście, nie miałem szczęścia oglądać jego oblicza, ani słyszeć tonu jego mowy. W Paryżu bawiłem zbyt krótko i nie mogłem pójść do niego, w Konstantynopolu zaś rozminąłem się z nim; wyjechałem z Konstantynopola przed jego przyjazdem, a powróciwszy, zastałem już tylko bezduszne jego ciało, oczekujące na pogrzeb. I ciała nie mogłem widzieć, bo trumna była opieczętowana.

Pomiędzy obecnymi w Konstantynopolu Polakami o niczem innem nie mówiono, tylko o śmierci wielkiego męża i o towarzyszących onej okolicznościach. A był to czas wojny wschodniej, która w epoce owej, stanąwszy na szczycie rozwoju, zajmowała wszystkie umysły w Europie i nie była obojętna dla Polaków, lecz dla tych ostatnich interes wojny upadł wobec straty, jaką poniósł naród w osobie wielkiego wieszcza. Zgasła gwiazda, która blaskiem swoim opromieniła sławę narodową...

Okoliczności poprzedzające zgon Mickiewicza były tego rodzaju, że śmiało powiedzieć można, iż nie przyczyniły się, ale sprowadziły śmierć jego. Zbiegły się one tak, że i moralnie i fizycznie wpłynęły jak trucizna na silny organizm jego. Moralnemi powodami śmierci był zupełny zawód na rzeczach i ludziach. To, co zdaleka, w Paryżu, wydawało mu się świetnem, pełnem nadziei, opartem na podstawach uczciwych, przedstawiło się na gruncie tureckim jako antrepryza spekulacyjna, drobna co do rozmiarów, nacechowana konkurencją pod względem wykonania. Zabolało go, że on to podnosił zdaleka, że okrywał powagą swej osobistości, że nakoniec omylił się. Nierad był mówić o tem, a kiedy jeden ze znajomych zapytał go wręcz, odpowiedział ogólnikiem: „tam jest grzech, wielki grzech!". Usunął się przeto od wszystkiego, a powróciwszy do Konstantynopola z wycieczki do Burgas, stanął na uboczu, że nawet nie chciał mieszkać z tymi, z którymi przyjechał z Paryża (-(t. zn. z młodym Czartoryskim)-). Prosił, żeby mu znaleziono osobne skromne pomieszkanie. Najęto więc dla niego pokój w jednym domu na Jeni-Szeri i przesadzono warunek skromności, nie we względzie pokoju, bo ten był znośny, ale pod względem wyboru domu, położonego w jednej z najbrudniejszych i najniezdrowszych części miasta, w dole, gdzie zbiegają się wszystkie rynsztoki, gdzie gnoje leżą na ulicach i obok ulic, napełniając powietrze zgniłemi wyziewami...

Do tak przesadzonej skromności pomieszkania dołączył on jeszcze skromność życia, zastosowując się do sposobu, w jaki żyje się na wschodzie. Na jego fizyczność nie mogły zgubnie nie wpłynąć: rzodkiew, śledzie, surowa cebula i kapusta. Zrozumieć nie mogę, jak ci, co go otaczali, którzy nie opuszczali go od rana do wieczora, nie wydzierali z ust jego takich jadeł, które trucizną są dla człowieka niezaklimatyzowanego na wschodzie, który życie całe w odmiennych spędził warunkach i nie był młodym, aby mógł bezkarnie przenieść raptowną zmianę sposobu życia. Nie obwiniam nikogo o złą wolę, ale o nadzwyczajną nierozwagę, skutkiem której zadawano mu truciznę w szczerem przekonaniu oddawania mu usług. Bo już też sam Mickiewicz nie przyrządzał sobie śniadań, nie kupował śledzi i rzodkwi; ktoś go w tem wyręczał, ktoś znosił, ktoś jadł z nim i zachęcał go do jedzenia. A byli to wszystko jego wielbiciele, którzy go nazywali „mistrzem", „nauczycielem", którzy usługiwali mu z pokorą niewolników i którzy tak nieodstępnie byli przy nim, że nie można było nigdy zastać go samego. Gdy K. Brzozowski i Kozłowski odwiedzili Mickiewicza, to on wyszedł za nimi do sieni i tam ich zatrzymał dla pomówienia z nimi swobodnie.

Choroba jego była krótka. Nie wiem, jak ona nazywała się, bo od jednych słyszałem, że to była cholera, od innych, że dysenterja, a jeszcze od innych, że nie była ani cholera, ani dysenterja. Ratowało go czterech lekarzy, więc może który z nich uwiadomi nas kiedy dokładnie, na jaką chorobę umarł Mickiewicz.

Przyjechałem do Konstantynopola z Dobrudży w pierwszych dniach grudnia i wysiadłszy ze statku, najpierwsza jaka mnie spotkała wiadomość była: Mickiewicz umarł... Nie będę opisywał uczucia, jakiego doświadczyłem, usłyszawszy te wyrazy, bo nie potrafiłbym opisać go..."

Jeżeli zatem chodzi o winowajców bezpośrednich, powiadamy: fizycznych, Jeż stawia sprawę aż nadto wyraźnie: winni najbliżsi i nieodstępni towarzysze Mickiewicza, winni Lévy i Służalski. Jeżeli zaś chodzi o przyczyny dalsze, powiedzmy: psychiczne, o atmosferę, która zatruła ostatnie chwile życia Mickiewicza, to i tutaj autor wspomnień nie zostawia nas w niepewności.

Jeszcze wyraźniej powiedział on swoje zdanie w korespondencji, przesłanej zaraz w r. 1855 do londyńskiego „Demokraty Polskiego". Pisał tam (bo niewątpliwie pisał on, choć pod korespondencją — nr. z dnia 31 stycz. 1856 r. — brak podpisu) o przyczynie śmierci Mickiewicza:

...„Nieład w dwóch formacjach tych jest nie do opisania; określę go jednak nieźle przez zawiadomienie was, że nieład ten wtrącił Mickiewicza do grobu. Możecie śmiało wielkiemi wydrukować literami, że Zamoyski i Sadyk są przyczyną śmierci Mickiewicza.

Mickiewicz z obozu pod Burgas przyjeżdżał taki zgryziony, tak zabolało go to zszarganie imienia pol., że dość było drobnej zewnętrznej przyczyny, aby złamać silny organizm jego. Wielki poeta nasz na wspomnienie o kozakach mawiał: „tam jest grzech, wielki, śmiertelny grzech". Z dwóch złych wybierając mniejsze, wolał jeszcze Sadyka dlatego, że znalazł w nim mniej hipokryzji, i dlatego jeszcze, że Sadyk obiecał mu pomoc w organizacji legjonu żydowskiego, po którym Mickiewicz wielkich spodziewał się rzeczy".

Przypuszczać wolno, że historja niewiele dorzuci do sądu Jeża i niewiele go zmodyfikuje. Zarówno warunki, w jakich upłynął schyłek życia Mickiewicza, jak też i sprawę odpowiedzialności za ten zgon przedwczesny, określił on jak najwyraźniej.

STANISŁAW PIGOŃ

NA WIDOWNI

Rozmowa ze znajomym. — Sprawa żydowska jest nudna.—Kogo głównie nudzi?—Wartość rzeczy powtarzających się. — Ocena żydów „z punktu widzenia państwowości".

ZNAJOMY mój, dość typowy inteligent warszawski, z wyraźnem niezadowoleniem przyjął do wiadomości zdarzenia dni ostatnich, raz jeszcze ujawniające zdecydowaną postawę młodego pokolenia polskiego wobec kwestji żydowskiej. Sam jest „do pewnego stopnia sympatykiem" ruchu narodowego, choć postanowił sobie „w chwili obecnej w żadne sprawy polityczne się nie mieszać". Pracę swą na polu publicznem ogranicza do krytykowania obozu, dla którego czuje sympatję. Wywiązała się rozmowa:

— Znowu — rzecze — wsiedliście na swego konika żydowskiego. Czy nie czas by był dać temu spokój? To już przecież tak się wszystkim znudziło...

— Zaraz, zaraz... Pogawędźmy przez chwilę o tym koniku... Przypomina pan sobie z historji, jak to Mieczysław I już w r. 963 toczył walkę zaciętą z Geronem i Wichmanem, powiedzianoby dziś może: wsiadł na konika... niemieckiego. Po nim jeździł na tymże koniku Chrobry. Potem Krzywousty. Potem Kędzierzawy. Mijały wieki. Na tego samego konika wskoczył Łokietek i cwałował na nim pod Płowcami. Po nim Jagiełło pod Grunwaldem. Po nim dosiadł go Kazimierz Jagiellończyk, by po trzynastoletniej wojnie, wśród powszechnego znudzenia, odzyskać wreszcie dla Polski brzeg morski i ujście Wisły. Niezbyt interesujące, prawda? Tak przez pół tysiąca lat nic nowego... Ale polityka narodowa — to nie przedstawienie w teatrze rewjowym, gdzie „co miesiąc zupełna zmiana programu". Naród właśnie ma tę cechę znamienną, że żyje poprzez wieki, że stawia sobie cele odległe, osiągane krok za krokiem przez następujące po sobie pokolenia, wytrwale, uparcie posuwające się wciąż w tymże samym kierunku. Niema chyba lepszego sprawdzianu, czy dany obóz polityczny istotnie jest narodowy, aniżeli stałe wysuwanie przezeń, na czoło zagadnień aktualnych, tych mianowicie, na daleką metę obliczonych zadań.

Katon Starszy był okropnym nudziarzem ze swojem ustawicznem: *„Ceterum censeo Carthaginem esse delendam"*. Był tak nudny, że aż przeszedł do historji. Ale też był senatorem rzymskim, nie sympatycznym *conférencier*'em, zapowiadającym nowe „przeboje"...

— Zapewne, ale wy tę całą hecę antyżydowską robicie dla zyskania popularności, dla celów demagogicznych...

— Przed chwilą mówił pan, że społeczeństwo jest walką z żydami znudzone... Sam przyznaję, że wśród naszej warstwy inteligenckiej wystąpienia przeciwko żydom budzą nieraz niepokój raczej, niż sympatję. Czyż nie zastanowiło pana nigdy, jak wielu można znaleźć „narodowców", np. w wolnych zawodach, w prasie, w świecie naukowym, w przemyśle, finansach, którzy nawet nie lękają się wystąpień opozycyjnych przeciw rządowi, ale gdy poruszy kto sprawę żydowską, milkną zażenowani... Wśród t. zw. „sfer kierowniczych" społeczeństwa ogromny jest odsetek ludzi, związanych z żydami karjerą, interesami pieniężnemi, towarzysko, koleżeńsko, nawet rodzinnie. Dla tych wszystkich podejmowanie kwestji żydowskiej jest równoznaczne z mąceniem ich osobistego spokoju, nie próbują też ukrywać swej niechęci do każdego, który to czyni. Wystarczy wskazać, jak mało zrozumienia znajduje u tych ludzi młodzież akademicka, przeciwstawiająca się naporowi żydowskiemu, jak „humanitarne" daje się jej reprymendy, jak zimną wodą (dosłownie: zimną wodą) gasi się jej szlachetny, bezinteresowny zapał w obronie polskości wszechnic. Walka z żydostwem wymaga niemało charakteru i łatwo w niej pozostać odosobnionym. Jeżeli, mimo wszystko, młode pokolenie w Polsce walkę tę prowadzi, jeśli dla sprawy tej gotowe narażać się i ponosić ofiary, to wie pan, dlaczego?

— ?

— Właśnie dlatego, że w tej walce chodzi o pewne rzeczy stare, wieczyste, zasadnicze. Czy nie zgodzi się pan, że wszystko, co było wielkiego w twórczości ludzkiej, choćby tylko w dziedzinie sztuki, miało zawsze za przedmiot sprawy odwieczne, zawsze nudnie powtarzające się wkółko: zmiany pór roku, miłość dwojga kochanków, wyrzuty złego sumienia, bohaterstwo w obronie ideału... A wchodzące dziś w życie pokolenie ma ambicję traktować politykę jak twórczość, nie jak zabawkę, „yoyo", które po pewnym czasie odrzuca się z uprzykrzeniem. Tacy już są owi młodzi obecni, że po tysiącu lat istnienia narodu nie znudziło im się jeszcze być Polakami, że nie pragną bynajmniej urozmaicić psychicznego i fizycznego typu polskiego przez wprowadzenie doń pierwiastków żydowskich. Walczą o czystość polskiej krwi, rodzimość polskiej cywilizacji, chcą jaknajskuteczniej izolować od społeczeństwa polskiego i jego spraw żywioł obcy, z którym mieszanie się uważaliby dla nas za degradację.

— Zgodzę się, że, ze względów narodowych, tak pomyślane oddzielenie żydów od reszty ludności kraju jest wskazane, ale z punktu widzenia państwowości...

— Właśnie, właśnie... Z punktu widzenia państwowości... Nie zaprzeczy pan chyba, że życie we własnem państwie wychowuje w narodzie pewne cechy, wytwarza w nim pewne instynkty, które można określić jako państwowe, np. poszanowanie prawa i t. p., bez czego normalny rozwój państwa, a nawet byt jego okazałby się poprostu niemożliwy. W narodzie, pozbawionym własnego państwa, instynkty te zanikają: przykładem chociażby my sami, jak po stukilkudziesięcioletniej niewoli odzwyczailiśmy się od myślenia kategorjami państwowemi, jak poważne są pod tym względem niedomagania naszej psychiki zbiorowej, z których musimy się leczyć. Cóż więc dopiero powiedzieć o żydach, którzy własnego państwa, będącego ich tworem, nie posiadają przecież od lat przynajmniej dwóch tysięcy?! Mieli czas stracić pozytywne instynkty państwowe doszczętnie, mieli czas nabyć różnych szkodliwych, niepaństwowych nałogów. Może z jakiegoś ogólniejszego, cywilizacyjnego stanowiska dałoby się dostrzec u żydów pewne wartości np. w zakresie matematyki wyższej albo poezji lirycznej, ale z punktu widzenia państwowości, jako materjał na obywateli, żydzi napewno żadnych walorów przedstawiać nie mogą...

Znajomy mój milczał. Pewno nie miał ochoty do dalszej dyskusji na te nieciekawe tematy.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WARSZAWA PRZEŻYŁA ZNOWU DZIEŃ ŚWIĘTA NARODOWEGO. Uroczystość nabrała szczególnego blasku z nastaniem zmierzchu. Iluminacje na gmachach ministerstw i komisarjatów policji szły o lepsze z reklamą świetlną kin i barów. Na ścianach budynków państwowych zawisły seryjnie robione portrety... Obchodzono czternastą rocznicę zwycięstwa koalicji, wyzwolenia ojczyzny z przemocy zaborców i odbudowania państwa. Że państwo ma powody święcić tę rocznicę, podobnie jak społeczeństwo, to wątpliwości nie ulega. Trudno było jednak przy ustanawianiu święta przypuścić, że może ono kiedykolwiek przybrać ten „państwowy" charakter, jaki dziś posiada. Dziwna zaiste była ewolucja stosunków, która do tego doprowadziła. W dniu, kończącym czternaście lat niepodległego bytu ojczyzny po jej odrodzeniu, mimowoli oglądało się tę ewolucję w perspektywicznym skrócie. W skrócie tym widać było, że Polska tak się w okresie powojennym odbudowywała, żeby po czternastu latach w sferze prawno-politycznej mieć jedno wielkie prowizorjum, nic trwalszego. Myśl zdążała za szczegółami tej oryginalnej ewolucji. Konstytucję oto zastąpiła prawie zupełnie zapowiedź zmiany konstytucji. Obywatele zapowiedzią tą żyją, jak prawem publicznem. W międzyczasie jest stan obecny. Społeczeństwo przyzwyczaiło się do niespodzianek, jak do jedynej rzeczy normalnej. Innemi słowy, przyzwyczaiło się do tego, że niema trwałych instytucyj. W dziedzinie prawno-politycznej nie zrosło się z żadną. W jego psychice niema poważniejszego oparcia sejm, bo rola jego w dzisiejszym porządku nie jest dla ogółu zrozumiała. Czy to organ od współpracy z rządem? Społeczeństwo nie nauczyło się cenić prawa wyborczego i odebrania go nie odczuło jako dotkliwej straty. Nikt nie ma jednak złudzeń co do tego, jaka jest technika polityczna, która w dzisiejszych warunkach zgóry gwarantuje i przesądza wynik wyborów. Społeczeństwo wie również, że prezydentowi państwa wzmocniono władzę, — ale w czem wzmocnienie to się objawia? Wyraźniej w umysłach prymitywniejszych rysuje się rola rządu. Pouczono mianowicie, że rząd — to państwo. Zagadką jednak dla wszystkich pozostaje, czy według tej teorji państwo, od maja 1926 r., zmieniło się, tak samo jak rząd, kilkanaście razy? Całe funkcjonowanie „ustroju" prawomyślny obywatel tłumaczy sobie tylko zagadką i niespodzianką, jako czynnikami leżącemi w naturze rzeczy. Sam nie przypuszcza, żeby społeczeństwo miało mieć jaki wpływ na sprawy państwowe lub miało poczuwać się za nie do jakiejkolwiek odpowiedzialności. Jeśli czasem mu się tak wydaje, podejrzewać siebie musi w głębi serca o nielojalność. Od tych rzeczy są władze. Na pociechę mówi sobie, że jest wychowany państwowo Tak niezmiernie daleko odbiegliśmy od pojęć europejskich o państwie w czternastą rocznicę odzyskania niepodległości.

WYBORY W AMERYCE, dokonane w ubiegły wtorek (6.X), przyniosły, jak wiadomo, miażdżące zwycięstwo demokratom. Kandydat ich, Franklin Roosevelt, wybrany został na prezydenta bezprzykładną w dziejach partji demokratycznej większością głosów. Na 50 stanów tylko 7 drobnych obszarem choć ludnych stanów połnocno-wschodnich: Pennsylvania, Delaware, New-York, Connecticut, Vermont, New Hampshire i Maine — oddało większość głosów za Hooverem. Jak wielki to przewrót, zorjentować się można z tego, że w r. 1928 tylko 8 stanów poparło kandydata demokratów, wszystkie inne poparły Hoovera. Klęska ostatniego jest tem zupełniejsza, że w historji politycznej Stanów nie zdarzało się prawie, żeby demokraci wygrywali znaczną większością głosów. Wogóle zwyciężali rzadko, w momentach trudności gospodarczych i powszechnego niezadowolenia; a i wtedy musieli się kontentować nieznacznemi liczbowo przewagami. Wynika to z istoty „partji" demokratycznej. W prasie w ostatnich dniach rozważano, jaka będzie polityka tej partji po wykorzystaniu przez nią wyborczego zwycięstwa i posadzeniu swego kandydata na urzędzie prezydenta. Rozważania te nie mają właściwie sensu. Partja „demokratów" jako całość nie ma żadnego programu, co więcej, utworzona jest ze sprzecznych, i nawet nienawidzących się żywiołów. Idą one razem do wyborów, bo taka jest tradycja polityczna Stanów. Zrozumieć to potrafi tylko ten, kto rozumie siłę instytucji tradycyjnej w życiu zbiorowem. Stany, choć młode i nie scalone jako naród, mają jednak bardzo silną stosunkowo tradycję ustrojową. Praktykowały ją niby (mierząc miarą europejską) od niedawna, ale w sposób ciągły. Nawet wstrząśnienie wojny secesyjnej nie zniszczyło tych ram ustrojowych. Dlatego tak trudno pomieścić się w nich mogą nowe partje; i dlatego mimo dziesięciu miljonów bezrobotnych, tak mało głosów — mniej nawet, niż przypuszczali na miejscu obserwatorzy — zdobył w ostatnich wyborach kandydat socjalistyczny. Fala powszechnego niezadowolenia okazała się, jak zwykle, wodą na młyn demokratów; a okrutniejszy niż kiedykolwiek kryzys zapewnił im tym razem najkompletniejsze zwycięstwo. Normalnie, jak powiedzieliśmy, „partja" demokratów składa się z żywiołów sprzecznych, które tylko tradycja polityczna zmusza do wspólnego wystąpienia i działania. O wspólnym programie w gruncie rzeczy niema mowy. „Demokraci" jest to właściwie koalicja mniejszości, których żądania, przy normalnem funkcjonowaniu machiny politycznej, nie doznają zaspokojenia. Mniejszości te są zupełnie innego rodzaju na północy i południu Stanów. W Texas, Missisipi, Luizjanie, Alabamie i innych stanach południowych jest to najbardziej konserwatywny element, anglosaski i protestancki, który boi się doktrynerskiego liberalizmu innych stanów w stosunku do kwestji murzyńskiej, na południu zawsze palącej. Tam szerzy się Ku-Klux-Klan i inne tajne stowarzyszenia, zawiązane w celu utrzymania w ryzach przy pomocy terroru przedewszystkiem murzynów, a także tego, co wolnomyślne, i tego, co katolickie. Natomiast na północy ludność katolicka, reprezentowana głównie przez wychodźtwo włoskie, irlandzkie i polskie, niezupełnie zasymilowana, stanowi drugą główną kadrę partji demokratycznej. Normalnie odsunięta od wpływu na sprawy publiczne, a przynajmniej państwowe, przez stuprocentowych amerykanów, stanowi ona naturalny element koalicji niezadowolonych, do której, w momentach kryzysu, przymykają najrozmaitsze żywioły. Tak różna w swym składzie „partja" nie ma oczywiście żadnej polityki określonej, jest skrzyżowaniem się różnych dążeń. Wilson, metodysta z południa, do końca swych rządów miał wśród demokratów w senacie nieprze-

jednanych wrogów. Osoba i polityka osobista prezydenta, któremu konstytucja amerykańska daje rozległe kompetencje, będzie czynnikiem decydującym w tych kwestjach, w których do polityki osobistej jest trochę pola. Główne kierunki i tendencje polityki amerykańskiej pozostaną prawdopodobnie bez zmiany. Nie widać, żeby w Stanach wykluwała się jakaś nowa myśl gospodarcza, która potrafiłaby uporać się z kryzysem, lub przynajmniej poważnie złagodzić jego skutki. Jednem z głównych usiłowań nowego rządu ma być wystaranie się o zapewnienie zasiłków państwowych bezrobotnym... Innem będzie złagodzenie zakazu wyrobu i sprzedaży alkoholu, do czego sytuacja zupełnie dojrzała. Jeśli chodzi o stosunek do Europy, nie widać, żeby zanosiło się na sensacyjne nowinki.

JOHN GALSWORTHY, TEGOROCZNY LAUREAT LITERACKI NAGRODY NOBLA, urodził się w r. 1867 — rok więc jest młodszy od Wellsa, o dwa od Kiplinga. Europa rozbrzmiała jego sławą, gdy w ostatnich latach przetłumaczono na różne języki „Sagę rodu Forsyte'ów". Niemało też do rozgłosu nazwiska przyczyniało się piastowane przez Galsworthy'ego stanowisko prezesa międzynarodowej federacji PEN-klubów. Powodzenie to w Europie osiągnął Galsworthy właśnie wtedy, gdy w Anglji minął zenitowy punkt swojej sławy. Jeszcze przed dziesięciu laty wszyscy, a zwłaszcza młode pokolenie angielskie, zachwycali się prawdą malowidła obyczajowego, rozplanowanego na tak dużą skalę w „Sadze", uzupełnionego innemi studjami powieściowemi. Zwłaszcza zaś pociągała młodych postawa ideowa pisarza, uważanego za najznakomitszego specjalistę od „*charity*" — głośnego zawołania w chaosie dzisiejszym. Podobała się też jego krytyka społeczeństwa wiktorjańskiego, wypomnienie rodakom ich kultu pieniądza i bezgranicznego szacunku dla dóbr materjalnych. Zjednywała uznanie postępowość, ambicja, żeby naprzód iść z młodymi. Po wojnie okazało się jednak, że młodzi wyprzedzili szybko swego *leader*'a, który właściwie nie umiał związać się sympatją z duchem krytycznym, irrewerencją i wywrotowością pokolenia powojennych intelektualistów, i został za nimi gdzieś daleko w tyle, utraciwszy ten wpływ na życie umysłowe Anglji, jaki wywierał przed wojną, i może jeszcze w pierwszych latach po wojnie. Dziś to szanowna, niemal wiktorjańska figura. Manuskrypt „Sagi Forsyte'ów", i dalszego ciągu, „Komedji Współczesnej", ofiarował Brytyjskiemu Muzeum, gdzie tomy te, oprawne w safjan, oglądać można pod szkłem w osobnej gablotce. I gdy całe prawie młode pokolenie pisarzy, z A. Huxley'em na czele, wywodzi się z Wellsa, który był im nauczycielem, patronem i przykładem, o tyle Galsworthy zostaje właściwie bez następców. Sztuka jego, bezwątpienia indywidualna, nie ma jednak bardzo wybitnych cech odrębności. „Saga Forsyte'ów", z dalszemi ciągami, jest z pewnością szeroko rozmieszczonem malowidłem obyczajowem, — ale pod tym względem wcale nie jest utworem wyjątkowym. Podobnie skomponowana jest tetralogja Bennetta: „*Clayhanger*", „*Hilda Lessways*", „*These Twain*", „*The Roll Call*". Niczem innem, jak studjami historyczno-socjologicznemi, nie są wielkie powieści Wellsa. Właściwie przykłady odtworzonych w powieści dziejów rodziny w literaturze angielskiej byłyby prawie niezliczone: rodzaj ten się upowszechnił; najświeższemi przykładami są: Beresforda drugi tom trylogji, „*The Middle Generation*", i Goldninga dzieje rodzin żydowskich, zamieszkałych na jednej ulicy: „*Magnolia Street*". Jako pojedyńcze studjum, „Saga" Galsworthy'ego obfitością szczegółów, dokładnością wizerunków, cierpliwem przeprowadzeniem rysunku charakterów góruje nad całą tą literaturą. Wątpliwe zato jest, czy i siłą poetycką Galsworthy sprostać potrafi wszystkim rywalom. Świetnością i rozmachem wyobraźni, impetem lirycznym z pewnością równać się nie może z Wellsem. Z pod pióra jego wyszły całe powieści, w których trudno znaleźć ślad poetyckiego natchnienia. Naprzykład: „*The White Monkey*". Nieraz też zarzucićby można autorowi, że w chwalebnem dążeniu, by być jaknajbardziej „ludzkim", wpada w łatwy dość sentymentalizm. Jest we „*Fraternity*" scena, gdy ktoś, przechodząc ulicą, słyszy jak jakiś uczeń za oknem konjuguje: „Ja byłem w więzieniu, ty byłeś w więzieniu, on był w więzieniu", i t. p. W dramacie „*Justice*" pokazuje autor, jak więzień bije we drzwi pięściami. Ale nie należy sądzić, że łatwy humanitarysta, to cały Galsworthy. Pisarz to godny, niezależny, prawdziwy znawca serca ludzkiego, zwłaszcza serca Anglika z lat: 1880—1910. Umiłowanie przyrody nieraz też w prozie jego zabrzmiało akcentami lirycznej tęsknoty. Nie odrazu dał się poznać z pełni talentu, starszy o dziesięć lat Conrad jeszcze w roku (jeśli nas pamięć nie myli) 1905 nie obiecywał sobie wiele po twórczości przyjaciela — i zdawało się, że miał rację. Rozpoczął Galsworthy w r. 1897 utworem: „*From the Four Winds*", potem przyszły: „*Jocelyn*", „*Villa Rubein*", „*A Man of Devon*", „*The Island Pharisees*" (1904). W roku 1906 wyszła powieść „*The Man of Property*", która zaczęła „Sagę Forsyte'ów", stanowiąc najcelniejszą może część tej serji, po dziś dzień kontynuowanej. W autorze krytyka i społeczeństwo uznali znakomitego pisarza. Dalej wychodziły: „*The Country House*" (1907), „*Fraternity*" (1908), „*The Patrician*" (1911), „*The Dark Flower*" (1913), „*The Little Man*" (1915), „*The Freelands*" (1915), „*Beyond*" (1917), „*A Saint's Progress*" (1919), „*In Chancery*" (1920), „*To Let*" (1922), „*The White Monkey*" (1925), „*The Silver Spoon*" (1927), „*Swan Song*" (1928), „*On Forsyte Change*" (1930), „*The Maid in Waiting*" (1931), i wreszcie ostatnia, przed paru dniami wydana powieść „*The Flowering Wilderness*". Wydał też Galsworthy tom poezyj i jakieś osiem tomów fejletonów i *essay*'ów. Utwory jego dramatyczne zebrano w sześciu tomach. Na kontynencie orędownikiem jego zasług literackich był André Chevrillon, który w r. 1912 poświęcił pisarzowi angielskiemu entuzjastyczne studjum, po dziś dzień zapewne zostające najświetniej napisaną pracą krytyczną o autorze „Sagi".

NAUKA I LITERATURA

SMUTNY I CIĘŻKI ROK

(IX tom „Pamiętnika" Poincaré'go)

POINCARÉ wypuścił w świat tom IX swego „Pamiętnika" — „*L'Année trouble*". Tom ten obejmuje dzieje roku 1917 — roku smutnego i ciężkiego dla aljantów, zwłaszcza dla Francji. Był to najcięższy okres wielkiej wojny, nietyle ze względu na to, co się działo na froncie, ile ze względu na poważne załamanie się psychiczne „na tyłach".

Nie wiele wiedziano wówczas o trudności położenia, cenzura działała, wieści „cichsze rozchodziły" się z trudem.

Dopiero obecnie ze wspomnień i opowiadań dowiadujemy się o poważnych objawach niesubordynacji w armji, o zwątpieniu wśród sfer politycznych, wreszcie o zdradzie, która sięgała wysoko. Pisze o tem wszystkiem bez osłonek Poincaré i dlatego to czytanie ostatniego tomu jego wspomnień pozostawia tak smutne i ciężkie wrażenia.

U stery spraw we Francji stały w r. 1917 kolejno gabinety Brianda, Ribota i Painlevé'go. Wiele rzeczy z polityki powojennej można zrozumieć jedynie, gdy się zna dzieje wojny. Z tego, co pisze Poincaré, widać naprzykład z całą jasnością, iż Briand nigdy nie posiadał wiary we Francję i nie spodziewał się zwycięstwa. Gdyby tak nie było, to nie wahałby się był wystąpić ostro przeciwko zdrajcom i szpiegom, nie byłby się godził na rokowania z wysłannikami niemieckimi.

Oto pod datą 19 czerwca notuje Poincaré co następuje: „Briand przychodzi do mnie bez wyraźnego interesu. Opowiada mi, że hr. de Mérode, Belgijka, urodzona La Rochefoucauld, która otrzymała od barona von Lanckena, gubernatora niemieckiego Brukseli, pozwolenie na wyjazd do Szwajcarji, przybyło do Francji i powiedziała mu, Briandowi, że w sferach urzędowych niemieckich mówi się o pokoju, a nawet o tem, twierdzi Briand, by nam oddać Alzację i Lotaryngję. Ostrzegam go przed złudzeniami i postępowaniem nieopatrznem".

Mimo tych ostrzeżeń, wizyty wysłańców von Lanckena były przyjmowane dalej...

Równocześnie z temi próbami skłonienia Francji do zawarcia połowicznego pokoju, kosztem jej aljantów, szła robota agentów i szpiegów niemieckich. Dziś znane są nazwiska agentów — Bolo pasza, Duval, Almereyda i tylu innych. Wielu zginęło śmiercią tragiczną: Bolo pasza — rozstrzelany, Almereyda popełnił samobójstwo w więzieniu (są poważne poszlaki, że został zaduszony), a obok nich szereg innych...

Poincaré nie opowiada nam tych rzeczy ze szczegółami, wiemy o nich dziś z procesów i wspomnień już ogłoszonych; lecz w jego „Pamiętniku" są częste echa tych wszystkich smutnych spraw.

Stosunki w armji doprowadził do porządku gen. Petain, zastosowawszy odrazu surowe i radykalne środki. Rozstrzelanie pewnej ilości sprawców zaburzeń przywróciło ład i karność.

W kraju zapanował nowy duch i nowy porządek, gdy premjerem pod koniec roku 1917 został Clemenceau.

Między nim a prezydentem były stosunki bardzo naprężone. Może się powie za mało, mówiąc, że się nie lubili. Nie ukrywa też tego wcale Poincaré w swym „Pamiętniku"; lecz równocześnie powiada, że widział wówczas w „Tygrysie" jedynego człowieka, który mógł sprostać tej ciężkiej sytuacji.

Gdy się czyta pisane z dnia na dzień notatki, gdy się widzi owo osłabienie prężności wewnętrznej, brak decyzji w rządzie, wahanie sfer parlamentarnych i zręczną, rozkładową robotę agentów niemieckich, to wtedy dopiero dochodzi się do należytego zrozumienia wielkiego znaczenia, jakie miało ujęcie steru przez Clemenceau. Doprawdy nie przesadzają ci, co powiadają, że zaprowadzenie ładu i porządku w kraju było koniecznym warunkiem zwycięstwa na polach bitewnych. Trzeba było wielkiej energii i wielkiej odwagi, by przeciąć pasma intryg, by postawić przed sądem osobistości zajmujące wybitne pozycje, by wszcząć szereg procesów o zdradę, nie licząc się z niczem, tylko z koniecznością prowadzenia wojny i osiągnięcia zwycięstwa.

Człowiekiem, który stał na wysokości tych zadań, był Clemenceau. Dobrze się też zasłużył Francji. Będzie też poczytane za zasługę prezydentowi Poincaré'mu, że odłożywszy na bok wszelkie uczucia i niechęci osobiste, oddał ster rządu w ręce Clemenceau. Tom IX jego „Pamiętnika" przykre robi wrażenie, odsłania bowiem słabości, wahania i załamania się. Kończą się jednak akordem mocnym — wejściem na scenę dziejową „Ojca zwycięstwa" — Clemenceau.

Tom następny, przygotowywany obecnie do druku przez niezmordowanego autora, będzie zawierał wspomnienia z roku zwycięstwa i zawieszenia broni — z roku 1918. V.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Druk dalszych artykułów Z. Wasilewskiego o Norwidzie odkładamy na parę tygodni, aby nie przeciążać pisma tematem. Notujemy to dla zaznaczenia, że praca nie jest zakończona.

*

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazała się książka Janusza Meissnera „Żwirko i Wigura—załoga RWD." Sympatyczna ta publikacja, ozdobiona wielu ilustracjami, napisana przez fachowca, porucznika-pilota, jest hołdem dla młodych bohaterów awjatyki, propagandą żeglarstwa powietrznego, a zarazem zasiłkiem dla fundacji imienia Żwirki i Wigury, dochód z niej bowiem przeznaczony jest na ten cel. Należy ją tedy kupować i czytać.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

O roli i działaniach finansjery międzynarodowej oraz o polityce i dyplomacji finansowej pisze się i mówi bardzo mało, w każdym razie o wiele mniej, niż o polityce i dyplomacji wogóle. Zaciekawia tedy książka *„Behind the Scenes of International Finance"*, której autorem jest Paul Einzig (Londyn 1932). Znajdujemy w niej dzieje ostatnich lat w świecie, z uwzględnieniem polityki finansowej i roli finansjery. Żałować jedynie należy, że autor, przejęty jakąś dziwną nienawiścią do Francji, wykoszlawia rzeczywistość. Dość powiedzieć, że w jego przedstawieniu główną, jeśli nie jedyną, przyczyną światowego kryzysu gospodarczego jest egoistyczna finansowa i gospodarcza polityka Francji. (K).

ZE ŚWIATA SZTUKI

WŚRÓD pejzaży, któremi jest przepełniona obecna, listopadowa, wystawa w Zachęcie, dwie sale przypadają na prace Henryka Szczyglińskiego. Utwory te, z różnych lat, obrazują dorobek artysty, w dniu trzydziestolecia jego działalności na polu sztuki. H. Szczygliński, urodzony w Łodzi dnia 19 stycznia 1881 r., kształcił się w Monachjum, a potem w Krakowie, gdzie najdłużej przebywał u Stanisławskiego. Należał do grupy uczniów sławnego twórcy pejzażu polskiego i wraz z nimi może być zaliczony w poczet krakowskich malarzy krajobrazu, okresu po Stanisławskim. Do najlepszych dzieł Szczyglińskiego zaliczyć wypadnie obrazy o kolorycie przyćmionym i stonowanym, mające za temat noc, efekty śniegu przy poświacie nocnej i t. p. W nich stworzył artysta własny, odrębny typ, nie pozbawiony uroku pewnego nastroju. Prace inne i późniejsze zalecają się głównie swobodą odtwarzania obranego tematu i ujęciem w szerokich, uogólniających plamach.

Obrazów wystawiono 59.

Szczęsny Rutkowski zapełnił swemi pejzażami salę, nie zostawiając niemal ani centymetra wolnego miejsca. Ogólny efekt wypadłby zapewne lepiej, gdyby niektórych prac nie pokazano, zachowując tylko lepsze i najlepsze, tembardziej, iż wiele z nich, pokrewnych rodzajem układu, przypomina się wzajem w temacie, a nie wszystkie są na jednakowym poziomie. Pozornie przedstawiają ten sam typ gatunkowy, lecz jeśli niektórym zbraknie świeżości i wyrazu, cechującego najbardziej udatne, — stają się jakieś drewniane. Nie dotyczy to oczywiście sporej garści dobrych obrazów, gdzie artysta trafnem zorganizowaniem całości potrafił wydobyć na-

strój łagodnie elegijny. Jest on dość charakterystyczny dla malarza, nie usiłującego polować na wartości dla jego psychiki obce. Posiadając takie nastawienie uczuciowe, utwory Rutkowskiego, zewnętrznie, należą do rodzaju kompozycyj pejzażowych. Tworzy je malarz, ujmując w ramy obrazu zwykle dość rozległy kawał terenu, z pewną już perspektywą, wyzyskując chętnie dekoracyjność drzew, które ustawia pojedyńczo, grupami, lub czasem zbitą gęstwą, by na jej ciemnej plamie pokazać żywsze w barwie sylwetki ludzkie („Zbieranie chróstu"). Życie, utajone w obrazach Rutkowskiego, jest nieco anemiczne, natomiast wyróżnia je (obrazy) logiczne i umiejętne zużycie efektów dekoracyjnych, zarówno w całości kompozycji, jak i w barwie. Technika dostosowuje się do założenia dekoracyjnego.

Utwory kompozycyjne Wiesława Poznańskiego cechuje duży zasób młodzieńczości, bynajmniej nie w dodatniem tego słowa znaczeniu. Polega bowiem nie na ryzykanckiem i brawurowem braniu przeszkód, a raczej na nieroztropnym braku rozwagi. Malarz wystawia sobie przeróżne i to dość wysokie przeszkody, ale potem wcale nie próbuje ich brać, tylko je obchodzi. Pozatem w tych dużych malowidłach niekonsekwencja: kształt wyraźnie, choć nieudolnie, stylizowany, a stosowanie techniki olejnej — w ambicjach — bardzo malarskie, to znaczy, nie poddające się rygorom i uproszczeniom stylizacji.

Konstanty Wróblewski wystawił szereg pejzażów z Bieszczad. Utwory, których matką jest rutyna, nie wykazują żadnego stosunku malarza do natury. Urodzone bez żywszego uczucia, nie dziw, iż żadnego żywszego oddźwięku w widzu nie wywołują. W barwach wiecznie ta sama zieleń i przeniebieszczone dale.

Marja Rogowska ma szereg wybornych akwarel. Życzymy tylko, aby dążenia kompozycyjne przeważyły w nich pewną skłonność do efektów, chęci kokietowania smakami farby wodnej.

Marceli Nałęcz-Dobrowolski pokazał rzeczy słabe i nijakie.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

BOLESŁAW KRYSIEWICZ

W DNIU 13 listopada zmarł w Poznaniu człowiek niepospolity, zasłużony obywatel, znakomity lekarz dr. Bolesław Krysiewicz.

Urodzony w Poznaniu 11 kwietnia 1866 r., wydział lekarski ukończył w Lipsku 1887 r., poczem osiadł w Poznaniu, tutaj jako lekarz praktykował, i tutaj działał. Gorący patrjota położył wielkie zasługi w ruchu narodowym, którego był jednym z chorążych. Ci, co go bliżej znali, tak określają jego charakter:

„Był zawsze sobą, bez najdrobniejszych odchyleń, bez wahań najmniejszych. Mądry a szlachetny; śmiały a zrównoważony; twardy a dobry; stanowczy a ujmujący: oto obraz duszy, umysłu i charakteru śp. Bolesława Krysiewicza".

Dał się poznać jako działacz już w latach 1894 — 96 w okresie „Przeglądu Poznańskiego", którego redaktorem był Władysław Rabski. Koło tego pisma, z Krysiewiczem na czele grupowali się ludzie przekonań demokratyczno-postępowych, zbliżonych do grupy ludowej Romana Szymańskiego, a walczący z obozem ugodowym konserwatystów. Był jednym z pionierów ruchu wszechpolskiego, jako czołowy przedstawiciel stronnictwa Demokr. Narodowego, a przedewszystkiem członkiem Ligi Narodowej.

W życiu społecznem dzielnicy Wielkopolskiej brał udział niezwykle czynny. Był członkiem ówczesnych polskich komitetów wyborczych do sejmu pruskiego i parlamentu Rzeszy, prezesem Towarzystwa Młodych Przemysłowców, należał do jednostek kierowniczych w Sokole, Towarzystwie Czytelń Ludowych, Tow. Wykładów ludowych im. Adama Mickiewicza, spółki akcyjnej, utrzymującej Teatr Polski w Poznaniu, członkiem, a potem prezesem rady nadzorczej wydawnictwa „Kurjera Poznańskiego".

W czasie wojny światowej ś. p. Bolesław Krysiewicz odegrał w dziele wyzwolenia Wielkopolski rolę historyczną. Jako członek Ligi Narodowej i również tajnego Komitetu Międzypartyjnego, stał w samem środowisku antyniemieckiego ruchu politycznego, a gdy nadszedł okres przełomowy, należał do tajnego Komitetu Obywatelskiego, następnie zaś został powołany na prezesa Naczelnej Rady Ludowej Polaków, wyzwalających się z pod jarzma pruskiego.

Do ostatnich chwil życia pozostał wierny swym ideałom. Ze szczególną serdecznością odnosił się do młodego pokolenia obozu narodowego, które zawsze liczyć mogło na jego przyjaźń i współdziałanie.

Cześć Jego pamięci!

Ś. P. MICHAŁ ROLLE

W D. 11 listopada zmarł we Lwowie dziennikarz Michał Rolle. Urodzony w r. 1865 w Krakowie, ukończył Uniwersytet Jagielloński. Pracował naukowo w dziedzinie historji. Pozostał po nim szereg szkiców historycznych: „Z życia Ormian Kamienieckich", „Z minionych stuleci", „Tadeusz Czacki i Krzemieniec", „Ateny wołyńskie", „Z przeszłości: Okręg rawski", „Starostwo barskie" i liczne opowiadania i gawędy kresowe.

W pracach tych śp. Michał Rolle szedł śladami ojca swego Antoniego (znanego pod pseudonimem dr. Antoni J.), którego materjały przerabiał. Nazwisko pochodzenia bretońskiego; Ojciec urodził się na Podolu 1830, mieszkał w Kamieńcu Podolskim, zm. 1894. Położył nie małe zasługi jako historyk.

Syn Michał poświęcił się dziennikarstwu w Krakowie, w r. 1897 wstąpił do redakcji urzędowej „Gazety Lwowskiej", której redaktorem był Adam Krechowiecki, przyjaciel starego historyka Rollego. Po wojnie „Gazeta Lwowska", utraciwszy swój dawny charakter dziennika namiestnikowskiego, wychodziła dalej pod redakcją Michała Rollego. Właśnie w tych dniach, kiedy Rolle umierał, przerwała swój żywot, zlewając się ze „Słowem Polskiem".

W r. 1927 Rolle dostał nagrodę miasta Lwowa. W ostatnich latach był prezesem syndykatu dziennikarzy lwowskich. Był dziennikarzem fachowym, rzetelnym pisarzem, dobrym człowiekiem, otoczony też był poważaniem, a śmierć jego wywołała żal ogólny.

LISTY DO REDAKCJI

Od prof. Zdzisława Próchnickiego ze Lwowa otrzymujemy list następujący:

„W numerze 47 „Myśli Narodowej" z rb. p. J. B. przedrukował wiersz Kasprowicza „Moja piosenka" („Tęsknico moja, idziesz w świat") i wyraził przypuszczenie, że wiersz ten powstał w latach 1903—1906. Historję tego wiersza znam dobrze i stwierdzam, że powstał w jesieni 1901. Liszniewski, z którym blisko żyłem jako kolegą uniwersyteckim, pokazywał mi go przy kolacji w hotelu Krakowskim, bezpośrednio po powrocie od Kasprowicza z wizyty pożegnalnej, na której ten autograf od niego otrzymał. Doktoryzował się w lutym 1901, a w jesieni tegoż roku wyjechał na stałe do Wiednia, na służbę w ministerstwie czy w namiestnictwie dolno-austrjackiem, stąd potem przeszedł do ministerstwa. Wiersza tego wówczas odrazu nauczyłem się na pamięć i po kilku latach, kiedy prezes Koła T. S. L. w Śniatynie, a mój przyjaciel z Uniwersytetu, Tadeusz Zajączkowski (obecny wiceprezes Sądu Apelacyjnego w Poznaniu) napisał do mnie, aby mu do przygotowowywanej „Jednodniówki" zdobyć parę utworów czy aforyzmów od kogoś z wybitnych literatów lwowskich, przypomniałem sobie ten wiersz, uzyskałem zgodę Kasprowicza i napisałem do Wiednia do Liszniewskiego, który mi przysłał odpis wiersza.

Mam wrażenie, że przy przepisywaniu czy przy przedruku z odpisu zaszło parę omyłek: co do jednej z nich mam prawie pewność, mianowicie w drugiej zwrotce wiersza ma być „Słońce złocisty rzuca blask", a nie „samotny", co jest omyłką zecera. Gdyby szło o ponowny przedruk do jakiegoś wydania zbiorowego, mógłbym napisać poprostu o fotografję autografu do Liszniewskiego, który jest obecnie profesorem konserwatorjum muzycznego (pianista) w Cincinnati w Stanach Zjednoczonych i przed kilku laty był tu we Lwowie. Mam jego adres dokładny.

ZDZISŁAW PRÓCHNICKI

OFENSYWA

ICH KARDYNAŁ

W „GAZECIE POLSKIEJ“ bardzo interesujący fejleton o nowej książce znanego, wybitnego dyplomaty francuskiego b. ambasadora pana de Saint-Aulaire, o monografji Kardynała Richelieu.

I książka, jak widać, bardzo ciekawa i referat bardzo symptomatyczny dla obserwatora i djagnosty naszej oligarchji *à rebours*.

Że taka pochwała „dyktatora w kardynalskiej purpurze“, o tak wysokiej temperaturze panegirycznej pojawiła się teraz w Paryżu, i to pióra wyraźnie katolickiego intelektu, to jest dokumentem i tego, jak głęboko i różnostronnie nurtują tam prądy, które znalazły wyraz między innemi w broszurze Maurois: „*Il nous faut de Chefs*“, dowodem także, jak i tam w Paryżu dokuczyły i we znaki dały się takie, „wstrząsające kolumnami parlamentu“ typy polityczne jak *homo* Blum (lub *homo* Grumbach) no i jak tam liczą się z tem, pokładają nadzieję w tem, że w krytycznym momencie czy wewnętrznym czy zewnętrznym na widownię musi wystąpić *commanding man* czy *man of Destiny* w stylu Gallifeta, Mac Mahona czy... generała Weyganda.

Do tego zdaje się zmierzać, o tem pouczać i na to przygotowywać w swej zasadniczej, generalnej intencji książka o Richelieu'm znakomitego męża stanu i pisarza. Charakterystyczny zasię jest ten pośpiech i zelotyzm, z jakim właśnie książki o takich tendencjach omawia się i zaleca czytelnikom pułkownikowskiej „Gazety“ dla pokrzepienia serc, uciszenia skrupułów... i zamasowania karków. Francuski autor daje pełny wizerunek budowniczego i organizatora państwa, zbieracza ziem, pogromcy wszystkich centryfugalnych, rozbieżnych, rozkładczych elementów, męża stanu wielkiego, „rozległego i precyzyjnego“, dla którego jedyną dewizą jedyną maksymą, jedynym dekalogiem, jedyną busolą było tylko i jedynie dobro Francji: bezpieczeństwo, rozkwit, jedność państwa, dodajmy szczegół ważny: państwa jednonarodowego. I oto jak ten kardynał postępował i jak działał, aby po swej śmierci zostawić skonsolidowane „państwo na szczytach wewnętrznej mocarstwowej i międzynarodowej potęgi“...?

Polski referent z książki p. de Saint-Aulaire z monografji francuskiej wybiera i wyłuskuje skrzętnie głównie a raczej wyłącznie, jak Richelieu tępił, niszczył i druzgotał swoich antagonistów. „Borealis“ z Gazety Polskiej już nie gustuje ale lubuje się w tych detalach z antyopozycyjnej taktyki „dyktatora w purpurze“. Richelieu'go „*making of state*“ we wszystkich innych dziedzinach mało „Borealisa“ obchodzi i wzrusza. Imponuje natomiast „Borealisowi“ głównie „nielegalność postępowania karnego... w sprawie obywania się bez ówczesnych prawidłowych sądów t. j. parlamentów“... Zachwyca Borealisa: „olbrzymie, poprostu decydujące znaczenie, jakie p. de Saint-Aulaire przypisuje wojskowemu wychowaniu, wyszkoleniu i wojskowej praktyce w formacji politycznego geniuszu Richelieu'go“. Wzrusza się do głębi i rozpływa w afirmacji tych wersetów i wykrawków, w których p. de Saint-Aulaire'a obrona pewnych metod rozprawiania się z przeciwnikami otwiera horyzonty analogij i podobieństw z lokalnemi stosuneczkami. Uradowanemu Borealisowi zdaje się wtedy że odkrywa... Atlantydę, że „*l'ordre regne à Varsovie*“ i wobec tego... *wsio w pariadkie:*

> „Wielu Francuzów“,—pisze — „bardziej zakochanych w jurysdykcji niż w sprawiedliwości, bardziej czułych na formę niźli na istotę rzeczy, nie tyle rozczula się nad losem ofiar, ile oburza się na „niekompetencję“ sędziów... Jeśli już o to chodzi, to niechaj jurydyczne skrupuły ukoją się na myśl, że niebezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne podwójnie wymagało stanu wyjątkowego, doraźnych procedur i nadzwyczajnych jurysydykcyj. Obowiązkiem było nie obserwowanie reguł, stworzonych dla sytuacyj normalnych, lecz zastosowanie do zbrodni przeciw ojczyźnie takich sankcyj, których szybkość podwajałaby efekt. Obowiązkiem było nie zwoływanie parlamentów, lecz zespalanie Francji“...

No i przytem jest jeszcze częste cytowanie tej Bastylji, tego *ultimum refugium* wrogów Richelieu'go, tej Bastylji, w której gniły tysiące hugenotów a o której zeszłego roku czytało się w „Polsce Zbrojnej“ dwa artykuły pt: „Trzeba odbudować Bastylję“ i to artykuły z pod pióra zdaje się... hugenockiego...

Czyż trzeba tu pobieżnie Borealisowi zwracać uwagę na to, że rządy Richelieu'go przypadają bądź co bądź na wiek dość dawny bo... XVII... i że jest jednak związek między przepełnieniem Bastylji za Richelieu'go a jej zburzeniem w 100 lat potem jako symbolu ciemięstwa, tyranji i takiego budowania państwa, które doprowadza do likwidacji dynastji, egzekucji króla, rewolucji, terroru i... Waterloo..

Borealis kończy swoją ekstazę takim sarkastycznym „akordem“:

> „Nie należy wątpić, że wiele poglądów wybitnego przedstawiciela polityki zagranicznej Francji dzisiejszej, wyrażonych w jego książce o Richelieu, może zaskoczyć niektórych ludzi w Polsce, tych mianowicie, którzy wciąż jeszcze nie wiedzą, jaka jest różnica między Państwem i Komitetem Obywatelskim lub Towarzystwem Dobroczynności“.

Otóż co to, to nie.

Nie koniecznie trzeba być aż takim ...„filistrem“ z partykularza... warszawskiego... aby do budownictwa państwowego przykładać te normy etyczne, które się stosuje przy organizowaniu „Towarzystwa Dobroczynności...“. Chodzi tylko o to aby w „Towarzystwie“, czyli w społeczności organizowanej w państwie, dobroczynność więcej, silniej i częściej przychodziła do głosu niż... złoczynność, odkarmiona przy pełnym żłobie i dzięki temu zdrowo i głośno deklamująca od rana do nocy o państwie, dla państwa, z państwem, państwu i t. p. Dalej rozchodzi się o to, aby normalnie popełniane kapitalne głupstwa, fałszywe kroki, niepotrzebne dywersje, klikowe „nasilstwa“, fiskalne kretynizmy nie były podawane „poddanym“ jako owoce dojrzałej racji stanu i mocarstwowe konieczności. Inaczej aby Napoleońscy Fouchés nie rekrutowali się zbyt licznie z fuszerów, partaczów i analfabetów...

Co zaś do tego: zaskoczyć, to zaskoczyć mogło tylko to, że jednak po tylu latach długotrwałej animozji w tym obozie („Djabeł Zwycięzca“) do katolickiego duchowieństwa i jego dostojników, nastąpiła taka przemiana materji w mózgach, że jako ideał, jako model stawia się już nie tylko... katolika ale nawet kardynała!

Pewną zmianę w poglądach ofensywnie antyklerykalnych można było już zauważyć z okazji zgonu zmarłego niedawno kanclerza austrjackiego, księdza Seipla, którego we Wiedniu, w stolicy „*Autriche*“, zwano figlarnie *Autrichelieu* jako pendant do gry słownej: *Cauchemarechal*...

Raczej tedy sympatycznie i mile zaskoczył Polaków z... Komitetów Obywatelskich i z Towarzystw Dobroczynności... ten zwrot, ta korrekta, to rozświetlenie w intelektach, że przy budowie państwa, jego konsolidowaniu się, jednoliceniu, umocarstwowieniu, może mieć coś i do powiedzenia i do czynienia... człowiek w „kardynalskiej purpurze“.

Orjentującego się w aktualnej fazie stosunków francuskich nie mogło też zaskoczyć tego rodzaju nastawienie się, „podejście“ p. de Saint-Aulaire do problemu: Richelieu.

Prawdopodobnie natomiast zaskoczeni będą i p. Borealis i jego kompanja, gdy się im przypomni, że ten to właśnie „wybitny przedstawiciel polityki zagranicznej Francji dzisiejszej“ pan de Saint-Aulaire bardzo twardo i bardzo kategorycznie wypowiedział się dwa lata temu... o... Brześciu nad Bugiem...

Zacytować to? czy też może sam „Borealis“ łaskawie w „Gazecie Polskiej“ będzie uważał za stosowne przypomnieć to P. T. Elicie?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Znajdujemy się w przededniu doniosłych reform w sądownictwie. Adwokaci, którzy nosili od czasu reformy p. Cara togi z wyłogami fjoletowemi, będą zmuszeni teraz oddać togi do krawca, aby obszycia były innego koloru. Sędziowie zmienią wyłogi zielone na fjoletowe. Zanim sędziowie, adwokaci i podsądni do nowych barw przywykną, wiele będzie zamętu. Adwokaci siadać będą za stołem sędziowskim, sędziowie na ławach obrońców, ci zaś z kryminału dostawać będą łagodnego obłędu, że ich zasądzają adwokaci.

W każdym razie jest ruch w interesie. Opatrzność zaś czuwa nad krawcami.

*

Rosyjski komisarz policji mawiał do aresztowanych obywateli, którzy krzyczeli: „precz z rządem“.

— Taki jest rząd, jaki mu się podoba, a panu co do tego?

Była w tych paru słowach cała konstytucja.

*

Urywek z powieści aktualnej:

— „Ach Boże — westchnęła pani Barska, wdzięcznym ruchem podrywając yo-yo — Nie dość, że takie ciężkie czasy, ale jeszcze do tego kryzys!“.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.